ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
„DZIENNIKA ZACHODNIEGO"

Katowice, 24 grudnia 1948 - Rok III

Nr 51



Winietę tytułową projektował i numer zdobił Paweł Steller
Zdjęcia: Czesław Datka, Katowice i Stanisław Mucha, Kraków

„...i pokój na ziemi"



Biały opłatek, strojna w szychy i świecidełka choinka, tradycyjna szopka, to akcesoria, podnoszące radosny nastrój, jaki ogarnia nas w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Urok ich podnosi jeszcze sama natura, strojąca ziemię w szatę śnieżną niepokalanej bieli. Święta — dni wytchnienia dla starszych, po codziennej rzetelnej pracy, dni radości dla dzieci po długim okresie wyczekiwania na upragnioną „Gwiazdkę".

Nadeszły Święta i obchodzić je będziemy, jak co roku, w gronie swoich rodzin, w gronie ludzi nam najbliższych.

Nad całą Polską, jak długa i szeroka, rozewrze w Noc Wigilijną swoje promienne skrzydła Anioł Pokoju, głoszący Wielką Nowinę:

„Pokój ludziom dobrej woli!"...

Pokój, którego pragnął lud w latach walki o prawo do życia, którego oczekiwaliśmy z dnia na dzień w mrokach okupacji i krwawej zamieci drugiej wojny światowej.

Pokój, który w mrokach kopalni wyrębuje nasz górnik, dla którego mozoli się w codziennym znoju hutnik, kolejarz, włókniarz, urzędnik i nauczyciel, inżynier i majster.

Pokój, do którego dążą wszyscy ludzie pracy na całym świecie.

Pokój, który jest nam potrzebny do zaleczenia ciężkich ran wojennych, do odbudowy miast i wsi, hut i fabryk, warsztatów pracy i domów mieszkalnych, szkół i szpitali.

Tego pokoju, pokoju po wieczne czasy, życzyć sobie będziemy wzajem wszyscy, łamiąc się białym opłatkiem przy uroczystej wieczerzy. Będzie to pierwsze i najważniejsze nasze życzenie, bo w nim zamyka się wszystko: nasze bezpieczeństwo, spokojny byt naszych rodzin, lepsza przyszłość naszych dzieci i lepsze jutro dla całego narodu i całej znękanej wojnami ludzkości.

Spędzimy potem święta odpoczywając i weseląc się radością naszych dzieci, szczęśliwych i roześmianych na widok strojnej, jarzącej się świecami choinki i prezentów pod nią złożonych.

Młodszych wywabi z domu śnieg, okrywający białą, migotliwą powłoką stoki Beskidów, Karkonoszy i Tatr. Pojadą zaczerpnąć w płuca mroźnego ożywczego powietrza, napaść oczy szerokimi, ośnieżonymi przestrzeniami, użyć nart i sanek. Napełnią się górskie ustronia radosnym śmiechem młodzieży, wyrwanej z ciasnych miejskich murów, z podziemi kopalni i hal fabrycznych, na dwa dni radości i beztroski.

Starsi będą się wzajem odwiedzać i pogadywać o sprawach świątecznych i sprawach dnia codziennego, od których trudno się oderwać.

A kiedy święta miną, znów wrócą wszyscy do codziennej pracy nad odbudową kraju i utrwalaniem pokoju.

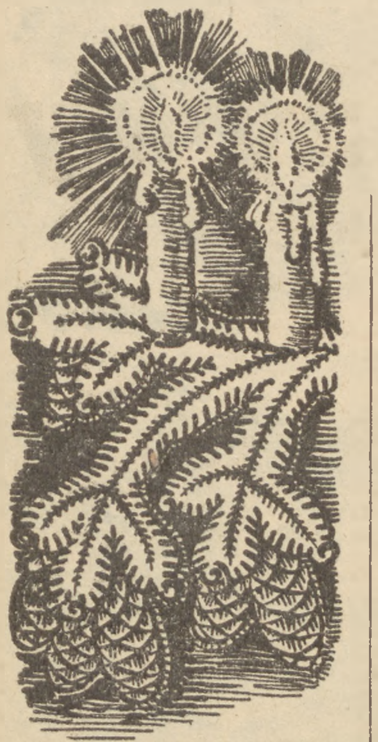






O. Swoboda

Ludowe zwyczaje wigilijne



Jeszcze brzask nie rozdarł cieni nocy wigilijnej, a już w chatach poczynają błyskać światełka, a po chwili na drogach ukazują się ciemne postacie, dążące na ostatnie w tym roku roraty.

Po ukończonym nabożeństwie śpieszą wszyscy, by najrychlej dostać się do domu, boć roboty dziś ogromnie dużo. Jutro bowiem rozpoczną się dwa wielkie święta, podczas których ustać winny wszelkie prace, nawet takie, jak gotowanie jadła. Piecze się więc wielkie ilości kołaczy, bab, strucli i pierników. Robi się makówki z bułek i maku, tłucze się konopie na konopionkę, siemieniotkę, piecze się karpie i przygotowuje moczkę z rybiego sosu i śliwek. Gotuje się również w małej ilości wszystkie potrawy, które się przez cały rok spożywało. Czas upływa szybko. Nawet dzieci w dniu tym starają się być grzeczne i pomagają rodzicom w czym tylko mogą, bo kto dzień wigilijny spędzi w lenistwie lub kłótniach, będzie próżnował i kłócił się przez cały następny rok:

„Jakiś w wigilię, takiś cały rok".

Dziewczęta pomagają pilnie przy gotowaniu i pieczeniu, zaś te, które są na wydaniu, starają się o to, by właśnie ona, a nie inna otrzymała mak do mielenia, bo która w dniu wigilijnym wykonuje tę czynność, wyjdzie niechybnie do roku za mąż.

Minęło południe.

Obiadu dziś nie ma. Nawet dzieci i starcy wstrzymują się dnia tego od jedzenia.

Synowie gospodarscy zebrali się po południu w środku wsi z powęślikami, przymocowali je do kijów, rozstawili się w półkolu i poczynają głośno strzelać ze sporządzonych w ten sposób karbaczy (biczy). Strzelają przed dworem, strzelają przed probostwem. Resztę swej siły wyładowują na czterach końcach wsi, po czym wracają do domów.

W izbie tymczasem wszystkie roboty i przygotowania dobiegają końca. Już okrywa się stół śnieżnobiałym obrusem, pod którym rozłożono cienką warstwę siana na pamiątkę narodzin Dzieciątka w stajence. Na środek stołu postawiono kilka dużych świec do oświetlenia izby, gdyż w ten święty wieczór nie godzi się używać innego światła. Obok nich położono pudełko z suszonymi ziołami i prochem strzelniczym, służącym potem przez cały następny rok do leczenia ludzi i bydła przez kadzenie, wzgl. „podstrzelenie". By ustrzec się od złodziei, kładzie się na stół także dużą kłódkę. Obok kłódki dużą główkę cebuli.

Zapada wieczór.

Dzieci z niecierpliwością oczekują na progu chaty ukazania się pierwszej gwiazdy, tego widomego znaku, zezwalającego na rozpoczęcie wieczerzy. Gospodarz tymczasem z synami górnikami czynią ostatnie przygotowania przy własnoręcznie sporządzonych „moździerzach", przeznaczonych do godnego powitania „Pana nad Pany".

— O! Pierwsza gwiazda zaświeciła — krzyczą dzieci. Huk z moździerzy i fuzji rozdziera powietrze. To górnicy witają Dzieciątko, dając znak do rozpoczęcia uczty wigilijnej tym, którzy pierwszej gwiazdy jeszcze nie dostrzegli.

Ojciec rodziny wyszedł przed chałupę na drogę, rozglądnął się czy nie ma kogoś, kto zabłąkał się w tę noc, by móc go zaprosić do wigilijnej wieczerzy, jak nakazuje staropolski zwyczaj. Nie zauważywszy nikogo, przyniósł do izby cztery snopy słomy i rozstawił je po czterech kątach izby, by upodobniła się do stajenki betlejemskiej. Gospodyni wraz z córkami podają do stołu, pilnie zważając, by wszystkie potrawy znajdowały się na stole przed rozpoczęciem wieczerzy, gdyż odchodzenie od stołu w czasie jedzenia wróży nieszczęście. Pod największą misę położył gospodarz pieniądze, po to, by się cały następny rok w domu trzymały, zaś pod nogi położył sobie kawał blachy i siekierę, co mu miało zapewnić zdrowie i siłę. Po takich przygotowaniach zmówiono, stojąc, wspólny pacierz.

Teraz zasiadła cała rodzina do stołu i poczęto się łamać opłatkiem, życząc sobie nawzajem zdrowia, szczęścia i błogosławieństwa bożego. Siemieniotką rozpoczęto właściwą wieczerzę, po czym następowały w małych porcjach wszystkie potrawy, jedzone przez cały rok. Wieczerzę spożywano w zupełnym milczeniu, jak tradycja z dziada pradziada nakazywała, a każdą potrawę rozpoczynał jeść ojciec, następnie matka, a potem dopiero reszta rodzeństwa według starszeństwa.

Modlitwą ukończono wieczerzę, po czym obdarowywano się podarunkami. Wybuchom radości, zachwytu i wesela nie było końca. Przerwał je dopiero ojciec, gdy otworzył starodawne kantyczki i zaintonował:

„W żłobie leży"
„Któż pobieży"... *podchwyciła reszta rodziny i zrobiło się jeszcze weselej, jeszcze radośniej.*

Gospodyni tymczasem pozbierała z obrusa okruszyny, zebrała siano spod obrusa, zmieszała z pożywieniem dla bydła i drobiu i odniosła to do chlewa. W tak uroczystym dniu nawet zwierzę powinno otrzymać niecoś ze stołu wigilijnego. Gospodarz zawołał do izby psa i dał mu z prawego kolana kawał chleba z czosnkiem, mówiąc:

„Tu masz obiad z prawego kolana,
Służ wiernie, a nie opuszczaj swojego pana,
A jak ci się co złego stanie,
Idź precz od domostwa i ode mnie"

Gdy pies zjadł chleb, otrzymał dopiero sutą wieczerzę, jak na dzień dzisiejszy należało.

Wróżenie przerywało śpiewanie kolęd. Pod trzy garnuszki, odwrócone dnem ku górze podłożono monetę, okruszynę chleba i odrobinę ziemi. Osobom, które nie widziały, co podkładano pod garnuszki, kazano je podnosić. Kto znalazł pod garnuszkiem monetę — tego czeka bogactwo lub spadek, kto chleb — zdrowie, a kto ziemię — tego spotka zaniedługo nieszczęście lub śmierć. Chłopcy powsadzali sobie na nogi po jednym buciku i przerzucali je przez głowę w stronę drzwi. Jeśli bucik wskazał końcem drzwi lub okno, wróżyło to danemu chłopcu rychłe opuszczenie domu rodzinnego przez ożenek, przez wyjazd, albo śmierć. Gdy bucik upadłszy, obrócił się obcasem do drzwi lub okno, oznaczało, że dana osoba pozostanie do następnej wigilii w domu.

Ze słomy, stojącej w kątach izby, ukręcił gospodarz powrósła i wyszedł do sadu obwiązywać drzewa owocowe, żeby w następnym roku lepiej obrodziły. Wyszło także starsze rodzeństwo. Dziewczyny pobiegły ku płotom i trzęsąc nimi pytały:

„Trzęsa cie płotku
Odzywaj sie chłopku".

lub:

„Płocie, płocie
Trzęsa cie!"

i nasłuchiwały z której strony da się słyszeć szczekanie psa — z tej bowiem przyjdzie jej przyszły mąż. Nie obyło się i bez żartów chłopców; o ile udało się któremu uprzedzić dziewczynę i ukryć się pod płotem, odpowiadał grobowym głosem:

„A jo diabeł
Wezna cie!"

Inne znów brały duży kawał drzewa i rzucały nim na dach chałupy. Której drzewo do trzeciego razu pozostało na dachu, dziewczyna ta będzie na pewno do roku kolebała własne dziecko. Podobnie zabawiali się starsi chłopcy, rzucając miotłę na drzewo. Ile razy musiał rzucić, zanim miotła zawisła na drzewie, tyle lat dzieliło go od ożenku.

Skończywszy wróżby w sadzie, wrócono do ciepłej izby kolędować i dalej wróżyć. Przyszła kolej na cebulę. Rozkrojono ją, wybrano dwanaście największych łusek, porozkładano na stole i do każdej wsypano szczyptę soli. Dwanaście łusek oznaczało dwanaście miesięcy nadchodzącego roku. Łuska, w której sól się roztopiła, oznaczała miesiąc mokry, zaś łuska, w której sól pozostała sucha — miesiąc suchy.

Zbliżała się północ. Rozkołysały się dzwony, wzywające na pasterkę.

Zapełniła się droga wiejska spieszącymi do starego kościółka, by usłyszeć wesołą nowinę, że „Panna porodziła Syna". Ale nawet i tu na drodze, lud nie zaprzestał wróżby. Każdy z idących na pasterkę uważał, aby w drodze się nie pośliznął i nie upadł, gdyż to oznaczało bliską śmierć albo nieszczęście. Dorosłe dziewczęta także nie zaspokoiły jeszcze swej ciekawości i wzięły sobie pod pachę po jednym jabłku, by przy powrocie z pasterki (o ile im w drodze lub w kościele nie upadnie na ziemię) mogły zapytać pierwszego spotkanego mężczyznę o imię; takie właśnie imię, jakie nosi pierwszy napotkany mężczyzna, nosić będzie jej przyszły mąż.

Powoli tłum wypełnił po brzegi odświętnie przybrany kościółek. Ozwały się dzwonki przy drzwiach zakrystii, huknęła muzyka i zawtórowały głosy zebranych:

„Bóg się rodzi
Moc truchleje..."

Pasterka się rozpoczęła.

Opustoszał kościół. Zgasły ostatnie świece na ołtarzu. Zapanował półmrok, tylko malutkie czerwone światełko wiecznej lampki rozświetlało mroczne wnętrze, ukazując na podłodze zgubione przez wiejskie dziewczyny jabłka — te ostatnie ślady pogańskich zwyczajów, których nie nie zdołało z myśli ludu wykorzenić.



„Kolędnicy" Grafika O. Swobody.

Józef Baranowski

List z opłatkiem

Posyłam ci wigilijnym
Listem — słowo z oddali —
Mróz je pąkowiem śnieżnym
Na oknach rozkrysztalił.

Rozrasta się we mnie życiem
W spóźniony wieczór grudniowy,
Wymalowany witrażem
Zachodu kolorowym.

Nie wiem, skąd powróciło —
Z dni dawnych wędrówką tułaczą —
Z pożaru kolczastych zasieków,
Gdzie wichry zbłąkane płaczą.

Może z koszmarnych obozów
Po krwawych wróciło śladach —
Nie znam wiodących dróg wspomnień,
Śnieg zatarł ślady — śnieg pada.

W poszumach kart dziejowych
Odsłania mi przeszłość nową —
Proste, z najprostszych myśli
Zrodzone myślą mą — słowo!

Pisząc ten list wigilijny,
Dzielę się z Tobą opłatkiem...
Jak cząstką słowa, które
Słyszałem kiedyś z ust matki.

Posyłam Tobie z oddali
Zbłąkane, proste słowo,
Żeby tak samo jak we mnie
Odżyło w Tobie na nowo.

Jest przecież tak braterskie
Owiane blaskiem miłym,
Jak tylko zrodzić się może
W noc świętą — grudniowa miłość..

Nieraz — gdy chropowatą
Cząstką smutku Cię zrani,
To wiedz, że odżyło na krótko
Przed blaskiem zmartwychwstania.

Niech będzie ziarnem rzuconym
Na naszą Ziemię Piastową —
Proste — z najprostszych myśli
Zrodzone myślą mą — słowo!

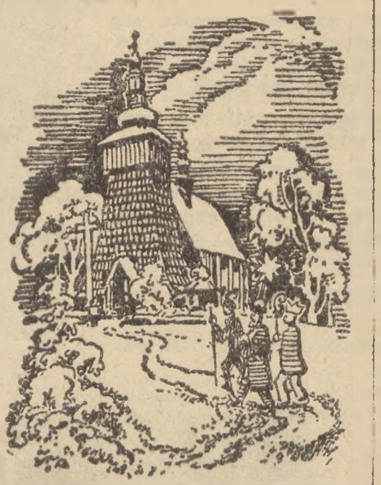
Odległym smutkom, wykrzesanym
Iskrą i krzykiem ludzkiej doli,
— — pokój!
Ludziom dobrej woli!

Aleksander Brueckner

Historia kolędy

Fragment z „Mitologii polskiej"

Obok Sobótek letnich występuje, acz mniej znacząco, zimowa kolęda, znowu z obcą nazwą łacińską, od kolend styczniowych; pożyczka to prastara, wszystkim Słowianom spólna. My kolędą nazywamy pieśni śpiewane w Boże Narodzenie i dary rozdawane młodzieży. Pierwotne „kolędy" nie zawierały nic tyczącego się święta chrześcijańskiego, sławiły szczodrość gospodarstwa, które raczyło kolędników i życzyły powodzenia rodzinie, obfitych urodzajów w oborze, w sadzie i na polu; dopiero z czasem wplątały się w kolędy. całkiem świeckie, owe religijne zwroty o pastuszkach, szopce i Betlejem, znane już od XV wieku, chociaż pierwotniejsze długo jeszcze przetrwały. Skupiało się tu wiele przesądów, więc w „Sejmie piekielnym" Rogalec, czarownik, cieszy się, że wtenczas różnych pokarmów nadziałają,



Których wprzód i koniom, krowom, świniom udzielają,
Wodzą bydło, konie, krowy w izbie po kolędzie...
Wilka wtenczas zakazują wspominać czeladzi,
A potem pod młyn po wodę czeladź wysyłają,
Rozkazawszy, niechaj w zębach podołki trzymają.
W skok przypadłszy na oborę, będą kropić krowy,
Podołki co w zębach mieli włożą zaś na głowy.

Jeszcze liczniejsze były przesądy, które nic już pogańskiego w sobie nie miały. Wzajemne obdarowywanie się i obsyłanie podarkami; gra w kostki (i karty) a nawet obkradywanie się na próbowanie szczęścia — w „Sejmie" czytamy:

Jedni się powinni upić, drudzy karty grają.
Niektórzy w cudzych komorach fortuny szukają.

Na „gody" płacono też wszelkie długi i przykry bywał to termin.

Potrawy obrzędowe noszą na Rusi i Bałkanie osobliwe nazwy, z których jednak kucia, kutia (pszenica z makiem w miodzie) z greckiego poszła (?) jak i koliwo (to na pewno), podobna; obie potrawy i przy stypie za umarłych podawano, i do cerkwi przynoszono. Ścisły post, wieczerzanie po ukazaniu się gwiazdy, ścielenie siana na stole itd. — to wszystko praktyki chrześcijańskie, pogańskie było palenie kłody wigilijnej (bachjaka, od bachi — wigilii albo bożyca), z której popiół i węgle dla urodzaju w stajni i sadzie rozrzucano. Zachodnia i wschodnia Słowiańszczyzna nie znają jednak tego obrzędu, ogólnego na zachodzie u Germanów i Rumunów, który od nich do Serbów i Kroatów na Bałkan zawędrował.

W obchodzie z zabawami tj. tańcami, maskami, pieśniami, wróżącymi przyszły urodzaj, uczestniczyli wszyscy; z czasem za chrześcijaństwa przypadło to na młodzież i dziatwę, krążącą po domach, liczącą na „szczodry wieczór". Udzielano kolędy jej i księdzu z klechą, którzy odwiedzali parafian, ksiądz i klecha kropili, święcili, kolędnicy śpiewali i „igrali", poprzebierani (chłopcy, bo dziewcząt nie dopuszczano) za kobiety i zwierzęta, a bywało, że i różne partie kolędujących się spotykały i obijały, tak że synod poznański z r. 1420 wyraźnie zakazał nocnego kolędowania dla owych bitek, zabójstw nawet i kradzieży. Wszelkie zimowe igrzyska ściągnęło chrześcijaństwo do pewnych dni świątecznych a przez przymusowe narzucanie postu wielkiego, przed którym w mięsopust szaleć nie dozwalano, przerwano doszczętnie jednostajny ciąg dni, wyodrębniając z nich te a nie inne.

Jak „kolędy" bez pierwiastków chrześcijańskich wyglądały, może pouczyć skomponowana około r. 1615 „kolęda chłopska", która zaczyna od życzeń pobożnych przy wzywaniu imienia boskiego a kończy:

Darował nas
Pan gospodarz
Bardzo hojnie
I przystojnie,
Choć onacznie,
Przecię bacznie;
Łasztem sieczki;
Cetnar brzeczki,
Dymu komin,
Żółtych słonin,
Kiełbaśnice
I jątrznice.
Wszyscy pezem
Pod tym chyzem
Boga proście,
Niech mu roście
Na mięsz pani,
Konie w stajni,
Na oborze
I w komorze,
Wszystko szumno,
Wielkie gumno,
Stogi, brogi,
Jako rogi
Stoją wszędzie
Dobrze będzie
Amen (!) *)

Kolędy nie uosobniono jak rusalji i tylko w uczonych baśniach XVII wieku prawiono o niebywałym bóstwie tej nazwy. Niewątpliwie obchodzili poganie tę dobę i na własne obchody przenieśli nazwę świąt, na Bałkanie (jak w całym świecie rzymskim) gwarno i tłumnie odprawianych, a przez kościół daremnie potępianych — w końcu więc uświęcił je kościół, podstawiając Chrystusa i Trzech Króli zamiast Słońca. Cała ta doba od wilii do Trzech Króli, jest świąteczna, nic sie w niej nie robi, a zarazem najskuteczniejsza i najobfitsza we wszelakie wróżby, gospodarcze (na urodzaj przyszły), miłosne (które dziewczyny wydadzą się), ogólnej treści (o śmierci itp.); wyliczanie ich nie miałoby celu, bo powtarzają się z drobnymi odmianami po całej Europie.

Nie zapominają w tym czasie o bydle, sadzie, ulach; z każdej potrawy przeznaczają coś i dla bydła (to jego kolęda) a i drzewom owocowym (np. opasywaniem słomą wigilijną) i ulom nie przepuszczają. Wróżą też z wieprza, którego zabijają, z posoki obficiej lub mniej płynącej, z części różnych itd.; liczne do naszych podobne sposoby wróżenia podaje A. Bogdanowicz w książce, z której wiele korzystałem, „Przeżytki dawnego poglądu na świat u Białorusów", Grodno, 1895 (po rosyjsku), stron 82—90.

*) Dla nieznającego starej polszczyzny. Jątrznice — to samo co kiełbasy; chyz — chałupa, dom; pezem — chy-kiem; na mięsz roście — niech grubieje; miąszy — gruby; Amen psuje ten wiersz, jak i owo Boga proście.

Prof. dr Julian Krzyżanowski

Poeta wiecznie żywy

(Na 150 rocznicę urodzin Adama Mickiewicza)



Pomnik Adama Mickiewicza w Krakowie, w trakcie burzenia go przez Niemców. Widoczne już zniszczenia na cokole pomnika.
Archiwum fot. „Dziennika Zach."

Szeroko rozrosły się lipy, sadzone przed laty pięćdziesięciu po wsiach i miasteczkach polskich, dla upamiętnienia setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. Sadząc w r. 1898 młode drzewiny, ludzie pokolenia ówczesnego pragnęli najprościej i najtrwalej wyrazić swą miłość i swój podziw dla poety, którego wielkość dzisiaj odsłania się nam daleko szerzej i pełniej, aniżeli to było przed półwiekiem. Świadczą o niej pomniki na placach wielkich stolic europejskich, wymowniej jeszcze prawią o niej dzieła jego, udostępnione w nowych przekładach tam, gdzie jedynie imię jego było znane ze słyszenia. Usiłują ją ukazać obchody i uroczystości, urządzane wszędzie tam, gdzie rozbrzmiewa mowa polska. A skoro tak, to raz jeszcze narzuca się pytanie, na które od lat stu odpowiadano wielokrotnie i najrozmaiciej: w czym tkwi istota wielkości Mickiewicza?

Poetów ludzkość czciła od czasów pradawnych, wielbiła ich jak umiała, podziwiając ich często jako natchnionych proroków, jasnowidzów, wieszczów, przenikających wzrokiem tajemnice, zakryte oczom ludzkim. Spoglądano w ten odwieczny sposób i na Adama Mickiewicza, dopatrując się w nim wieszcza narodowego, jakkolwiek doświadczenia stuletnie jego przepowiedni politycznych nie sprawdziły, i jakkolwiek podziw dla genialnego poety występował i występuje nie tylko u nas, ale i u narodów innych, któ... nasze sprawy i troski narodowe są obce. I właśnie dlatego nie podobna zadowolić się odpowiedziami na owo pytanie, w czym tkwi i na czym polega prawdziwa wielkość Mickiewicza.

Niezwykłe szlaki życia

Podziw, którym ludzkość otacza wielkich poetów, sprawiał, iż dokoła ich życia oplata się zazwyczaj jakaś legenda, otaczająca ich nimbem nadzwyczajności, niemal cudowności. Tak stało się i z Mickiewiczem, którego życie istotnie toczyło się po szlakach rzadko w dziejach oglądanych. Młodzieniec, pochodzący ze środowiska małomiasteczkowego, zawdzięczający wszystko, co osiągnął, własnym zdolnościom i życzliwości ludzkiej, niemal na progu życia stał się „carskiej ofiarą przemocy". Uwięziony i skazany na wygnanie za udział w podziemnym stowarzyszeniu studenckim, od młodości wkraczał na drogi historii. Przygotowywało go do nich Wilno, wprowadzał na

nie zaś pobyt w Rosji, gdzie wśród okoliczności dla nas dotąd nie całkiem jasnych, dostrzegł po raz pierwszy, jak na skrzyżowaniu polityki mocarstwowej z dążnościami rewolucyjnymi, tworzą się nowoczesne dzieje europejskie. To też, gdy po opuszczeniu imperium carów znalazł się w Europie zachodniej, we Francji, wrącej intensywnym życiem zbiorowym, rzucił się w nurt działalności politycznej, by zakończyć ją po latach przeszło dwudziestu w Konstantynopolu, gdzie spotkała go śmierć przedwczesna. Taki tryb życia obcy był hreczkosiejom polskim owej epoki, tym z nich nawet, którzy na wojence dalekiej zwiedzili kawał świata. Z tym wszystkim ludzi, którzy w podobny Mickiewiczowi sposób spędzili życie, nawet w Polsce pierwszej połowy ubiegłego wieku było wielu. Znały ich doskonale raporty policyjne epoki „świętego przymierza" i czasów ogólnoeuropejskiego wrzenia rewolucyjnego, wyładowanego w „wiośnie ludów". Znały ich równie dobrze kozary i więzienia ówczesne. Bywali wśród nich ludzie wielcy i ludzie mali. Mickiewicz zaś, należący do pierwszych, nie był jednak wyjątkiem a przynajmniej wielkość jego nie zawsze daje się mierzyć miarą jego wielkich rówieśnych. Gdzie więc jej szukać?

Częściowo właśnie w owej wierze współczesnych, występującej bardzo wyraźnie, gdy naszkicowane poprzednio ogólne ramy życia poety wypełnić faktami. Pokolenie, do którego Mickiewicz należał, nie łatwo umiało rezygnować. Jego przedstawiciele najwybitniejsi nie dawali się łamać przeciwnościom; namiętnie wielbiąc wolność, poszukiwali jej i walczyli o nią bezustannie, choćby pod ostatnimi strzępami sztandarów. Niewielu jednak było wśród nich takich, którzy by czynili to z taką konsekwencją, z takim uporem, jak właśnie Mickiewicz. Redaktor „Pielgrzyma Polskiego", profesor literatur słowiańskich w Collège de France, organizator legionu polskiego we Włoszech w r. 1848, redaktor „Trybuny Ludów", działacz wreszcie polityczny w Turcji, gdy zdawało się, iż rozpoczął się zmierzch potęgi carskiej, zagrożonej przez wojnę krymską — oto łańcuch działań Mickiewicza, podejmowanych jako etapy walki z niewolą, jako dalszy ciąg akcji rewolucyjnej, wszczętej przez powstanie listopadowe i stłumionej wraz z jego upadkiem. W podobny sposób walczyli również inni, rzadko jednak walka ich była tak długofalowa, tak konsekwentna i uporczywa, jak wystąpienia Mickiewicza. I to jest pierwsza cecha, wysuwająca go przed szereg bojowników wolności w jego pokoleniu.

Bojownik o wolność narodów

U Mickiewicza dostrzega się jednak coś innego jeszcze. Jego modlitwę o „wojnę powszechną za wolność ludów" powtarzały tysiące jego czytelników we wszystkich krajach europejskich, niewielu jednak wśród rówieśników jego, nawet największych, wyciągało z niej tak nieubłagane wnioski, jak on to czynił. Bojownicy wolności w jego pokoleniu szukali jej i walczyli o nią, jak wiemy, pod różnymi sztandarami, niemal zawsze jednak były to sztandary jakiejś określonej grupy społecznej, jakiegoś narodu. Rzadko tylko ich obrońcy zdawali sobie sprawę z tego, że sama ilość sztandarów dowodzi, iż wiodą one ku wolności człowieka, ku wolnej ludzkości.

Widział to i rozumiał właśnie Mickiewicz i to na całe lata przed objęciem redaktorstwa „Trybuny Ludów" i rzuceniem na papier wcześniejszego od niej „Składu zasad". Wszak zasady te ustalał już w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego", a więc w r. 1832, i tym tłumaczy się fakt, że broszura ta stawała się programem wszystkich narodów, walczących o zrzucenie jarzma niewoli. Wprawdzie na kartach jej „pielgrzymi" polscy otrzymywali miejsce uprzywilejowane i rozlegały się tu hasła, które mogły stać się punktem wyjścia dla budowy systemów nacjonalistycznych, nad tym wszystkim jednak górowało głębokie przeświadczenie o wartości ideałów, które w historii upowszechniła rewolucja francuska, a które, po wykorzenieniu tendencyj monarchistycznych, miały przynieść wyzwolenie całej ludzkości. Poglądy i te i późniejsze sprawiły, iż do Mickiewicza nawiązywali chętnie późniejsi myśliciele socjalistyczni, upatrując w nim swego poprzednika, jakkolwiek redaktor „Trybuny Ludów" wyznawał przekonania, których część tylko miała wejść do systemu myśli socjalistycznej. Pokrewieństwa te jednak stanowią najlepszy dowód powszechności myśli Mickiewicza i świadczą, jak bardzo była ona nowoczesna.

Mickiewiczowska droga do wolności nie zawsze umiała omijać manowce, na które ściągało ją życie. Zwłaszcza że poeta politykiem zawodowym nie był, a całym sercem związał się ze sprawą, której polityka ówczesna nigdy jasno postawić nie chciała, ze sprawą Polski, i że z całym przekonaniem odrzucał te zasady, którym polityka owa hołdowała. Owe zboczenia i odchylenia, na danym tle historycznym zupełnie zrozumiałe, czynią z Mickiewicza postać wysoce tragiczną, znaczenie ich jednak maleje i nawet zaciera się, gdy się zważy na całość przebytej przezeń drogi i na ogrom wysiłku, włożonego w pokonanie trudności, w które na każdym swym zakręcie obfitowała, choć na każdym otwierała rozległe widoki na przyszłość.

Genialny poeta

A jednak cały trud Mickiewicza-działacza nie wydawałby się czymś tak wyjątkowym, gdyby



Z pomnika Mickiewicza w Warszawie, ocalała tylko głowa Wieszcza.
Fot. „Kalendarz Warszawski 1946"

ten, co go podjął, był tylko bojownikiem wolności, redaktorem pism rewolucyjnych, organizatorem wojskowym czy profesorem, głoszącym hasła wolnościowe. Podobnych ludzi pokolenie ówczesne znało wśród Francuzów, Rosjan, Włochów, Polaków. Wielkość Mickiewicza polega na tym, że bojownik wolności był równocześnie genialnym poetą, uznanym z miejsca niemal w Polsce, a rychło podziwiany, choćby ze słyszenia tylko, również poza jej obrębem, zwłaszcza w Rosji i Francji.

Nazwanie zaś Mickiewicza genialnym poetą — to nie pusty frazes. Poeci, pozbawieni geniuszu, rychło idą w zapomnienie u swoich, rzadko zaś docierają do obcych, jeszcze zaś rzadziej wzbudzają u nich stałe uznanie. Stulecie zaś ostatnie dowodzi, iż zainteresowanie Mickiewiczem w świecie poza polskim nie tylko nie słabnie, ale wręcz przeciwnie — stale rośnie. Mickiewicz należy do rzędu klasyków, pisarzy, których przekłada się wciąż na nowo, którego dzieła i którego życie budzą stale zainteresowanie. Poeta, który tworzyć przestał bardzo wcześnie, jest poetą żywym, dzieła jego pociągają czytelników, do których nie przemawia to wszystko, czym Mickiewicz czarował i czaruje czytelnika polskiego, poddającego się choćby samemu czarowi mowy poetyckiej „Dziadów" czy „Pana Tadeusza". Na czymże więc polega urok poezji Mickiewiczowskiej, działający również na czytelnika, który otrzymuje dzieło poety, pozbawione tych wszystkich uroków, co wiążą się nierozłącznie z samym dźwiękiem słów przezeń stworzonych?

Światowy klasyk

Odpowiedź na to pytanie dać można, gdy się pamięta zdanie samego Mickiewicza, gdyż jako twórca nie uznaje on krajów, których nie ma na mapie. Mickiewicz mianowicie, poeta, który w dziełach swych chętnie wiedzie czytelnika w krainy, stworzone przez zdumiewająco bogatą krainę wyobraźni własnej, krainy, w której panuje fantastyka, — jest realistą najwyższej klasy. Wytwory swej bujnej fantazji widzi on tak, jak gdyby był obserwatorem zjawisk, precyzyjnie dostrzeganych w laboratorium naukowym, czy pracowni malarskiej. Dzięki temu jest rzeczą obojętną, czy przedmiotem jego wizji poetyckiej są zjawy, opisywane w pieśniach ludowych, czy wydarzenia, znane z kronik średniowiecznych, czy wspomnienia z życia własnego, czy obrazy przeszłości, oglądane oczyma dziecka, czy wizje przyszłości, — wszystko to pod piórem Mickiewicza nabiera plastyki i wyrazistości, którą podziwiamy w opisach naukowych lub na płótnach malarzy-realistów. I ta właśnie plastyka, dająca się zachować również w językach obcych, szczególnie silnie zaś występująca dla człowieka, czytającego Mickiewicza w oryginale, działa na każdego, kto bierze dzieła Mickiewicza w rękę, i ona to właśnie sprawia, iż autor „Pana Tadeusza" z poety polskiego przekształca się w klasyka światowego.

Do tego zaś przyłącza się sprawa druga. Mickiewicz działacz i Mickiewicz poeta — to jedna i ta sama osoba. Stąd cały żar polityczny, który poecie pozwolił utrzymać się na szlakach bojownika wolności, promienieje w jego wizjach poetyckich. Wszak Mickiewicz jest twórcą jedynej w swoim rodzaju postaci człowieka-miliona, jednostki, która w życiu własnym przeżywa tragedię grupy społecznej, do której należy, postać Konrada, bojownika o te same sprawy, o które walczył jego twórca. Dzięki temu w dziełach Mickiewicza panuje klimat bohaterstwa społecznego i on to właśnie stanowi o ich czystej atmosferze, pełnej wymowy dla każdego, kto żywo odczuwa swe związki z grupą społeczną, do której należy.

I właśnie ta atmosfera sprawia, iż Mickiewicz jest poetą nowoczesnym i że święto jego jest świętem człowieka dzisiejszego.

Edward Ligocki

Konsul nieistniejącej Rzeczypospolitej

Można bez przesady powiedzieć, że dopiero wojna 1914 roku przerwała ostatecznie wiek XIX, który dłużył się i dłużył — i jakby przetrwał kilkanaście lat dłużej, niż mu było sądzone. W każdym razie przetrwała jego atmosfera — a widać to było wyraźniej w Paryżu, niż gdziekolwiek na świecie.

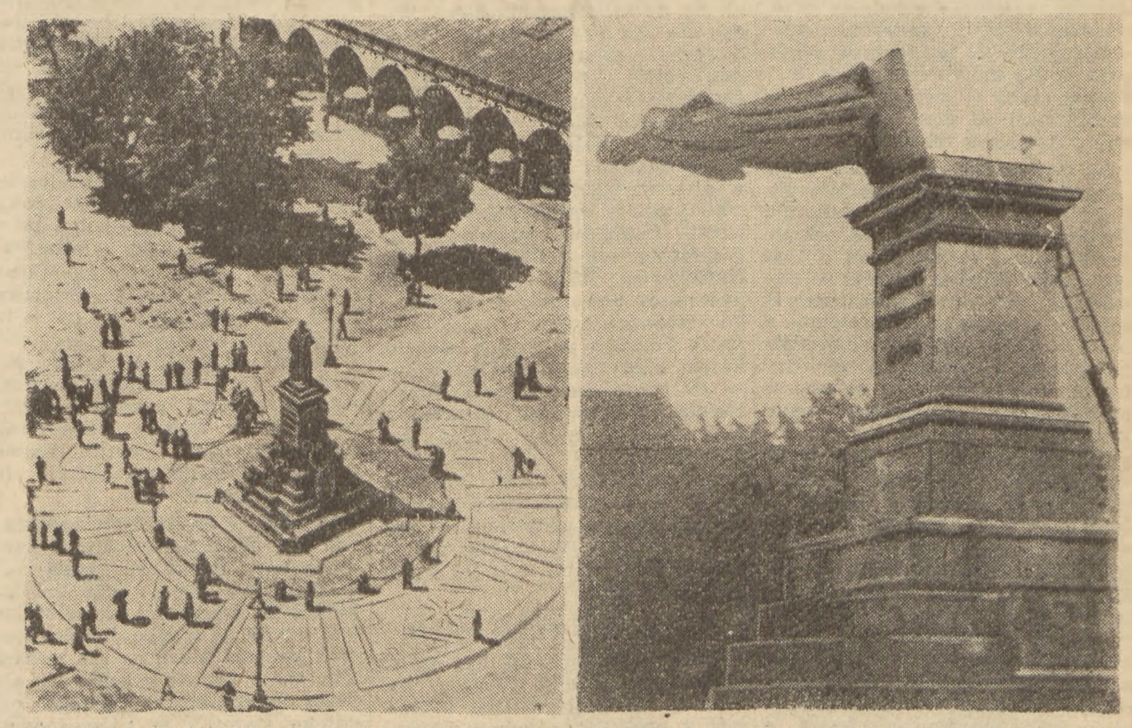
Polak, przyjeżdżający nad Sekwanę, musiał oczywiście meldować się w prefekturze policji. Jeśli miał papiery w porządku, spotykała go przykrość zapisania w rubryce poddanych pruskich carskich czy austriackich i nic nie pomagały żadne perswazje, żadne powoływania na uchwały kongresu wiedeńskiego, zachowując prawne pojęcie narodowości polskiej. O ile jednak nie miał paszportu — a jeździło się wówczas swobodnie przez wszystkie granice Europy zachodniej — urzędnik francuski wymawiał jedno jedyne nazwisko: Monsieur Mikiewisz — trzeba było przynieść list polecający od pana Władysława Mickiewicza, syna poety — a tego rodzaju pismo stawało się glejtem żelaznym i dawało możność pozostania we Francji.

Aż do roku 1914 były w Paryżu tylko trzy instytucje polskie — Biblioteka przy Quai d' Orleans, na wyspie, przytułek na Batignolach, gdzie ongiś zmarł Norwid — i parafia przy ulicy St. Honore. Dyrektorem Biblioteki Polskiej, należącej do Krakowskiej Akademii Umiejętności, był Władysław Mickiewicz. Pełnił on de facto funkcje konsula nie istniejącej Rzeczypospolitej Polskiej, opiekował się rodakami wprowadzał do różnych instytucji naukowych i społecznych — a że miał ogromne stosunki i był obywatelem francuskim, siłą rzeczy odgrywał rolę pierwszego Polaka w Paryżu. Toteż każdy niemal przybysz z Polski uważał za swój obowiązek złożenie wizyty nestorowi kolonii polskiej w Paryżu. Jedni szli do Biblioteki — by przy okazji zobaczyć małe muzeum Adama Mickiewicza, które pan Władysław tam ulokował — inni szli do jego mieszkania przy ulicy Guenegaud numer piąty — było bowiem wiadomo, że każdy Polak mile tam był widziany w poniedziałki po ósmej wieczorem.

Syn wielkiego ojca

Pan Władysław Mickiewicz miał wygląd patriarchy — wysokiego wzrostu, z gęstą, białą brodą i bujną, długą, siwą czupryną. Gościnny był, rozmowny, sypał anegdotami historycznymi, jak z rękawa i lubił nade wszystko wspominać swego genialnego ojca. Mówił biegle po polsku z charakterystycznym francuskim akcentem, wymawiając „u" zamiast „r". Człowiek ten był istną skarbnicą wiadomości z ubiegłego wieku. Życie swoje poświęcił studiom nad twórczością Adama i biografią poety, wydał kilka dzieł na ten temat, a działalność swoją zaczynał jako księgarz. Sięgał pamięcią własną do 1850 roku i dalej wstecz, dzięki nagromadzonym materiałom mickiewiczowskim. Daleka przeszłość była w jego oczach czymś bardzo bliskim, niemal że wczorajszym. Znał osobiście bodajże wszystkich wybitnych ludzi ostatniego sześćdziesięciolecia. Mówił o nich chętnie. W salonie jego mieszkania na trzecim piętrze starego, dość ponurego domu, obok Sekwany i gmachu Mennicy, zbiera-

(Dokończenie na stronie 4)



Krakowski pomnik Wieszcza tuż przed zniszczeniem i w momencie walenia jego górnej części. Fotografie powiększone z maleńkich, migawkowych zdjęć, dokonanych z ukrycia. Arch. fot. „Dz. Zach."

Kornel Makuszyński

Ilustrował J. Gierczakowski

Gościnny Celestyn

W dniu wigilijnym do pana Kleofasa przywlókł się bardzo znużonym krokiem bardzo znużony p. Celestyn, a chociaż dopiero zapadał zmrok, wydało się panu Kleofasowi, że z panem Celestynem weszła czarna i posępna noc. Gość dzierżył w ręce walizkę, co mogło oznaczać, że jest wędrowcem, albo udaje owego kapcana, filozofa Biasa, patrona wszystkich hołyszów, po którym nie pozostało wiele mądrości, jedynie harde słowa: „wszystko, co moje, noszę ze sobą!"

Ów Celestyn, stanąwszy przed obliczem przyjaciela, spojrzał na niego łzawym spojrzeniem i nie powiedział, lecz zaszeleścił, jak rozpłakana fontanna:

— Czy możesz mnie u siebie przytulić na czas świąt?

Odrzekł mu Kleofas:

— Oczywiście! Na wilię dostaniesz połowę śledzia i pieczone kartofle. O której godzinie ma cię jutro zbudzić Zenobi?

— Kto to jest Zenobi?

— Jest to mój lokaj, którego nie mam. Tak się jednak zawsze mówi w nadobnych powieściach. Nie posiadam też poduszki, czy możesz przeto skołataną głowę oprzeć na grubej książce?

— Pragnę umrzeć... — zaszemrał gość.

— Rozumiem z tego, że ci książka wystarczy. Jest wprawdzie czternaście powodów więcej do życia, niż do śmierci, ale to twoja osobista sprawa. Mogę ci dać tom encyklopedii, powiedz mi jedynie, na którym będziesz spał najlepiej? Wybornie nadałby się opasły tom poezji pewnego młodego poety, obawiam się jednakże, że ludzka głowa tego nie wytrzyma, i albo nie zmrużysz oka, albo też będziesz boleśnie jęczał przez sen.

— Ja będę płakał — czarnym głosem — rzekł Celestyn — ja będę wył!

— Możesz sobie pozwolić. Gdyby który z sąsiadów, słysząc twoje bolesne wycie, chciał protestować, powiemy, że to radio nadaje słuchowisko. Co ci podać na śniadanie — kawę czy czekoladę?

— Najlepiej truciznę, ale możesz mi dać herbaty.

— To się wybornie składa, bo w domu nie ma ani kawy, ani czekolady.

— Więc czemu pytasz?

— Aby uczcić gościa. Czy zgrzytasz zębami przez sen?

— Niestety, nie zgrzytam...

— To dziwne! Odważni Sarmaci zgrzytają zębami na żony we dnie, a mniej odważni czynią to potajemnie w nocy. Czy masz jeszcze jakie życzenia?

— Takie pytania zadaje się skazanym na śmierć. Słusznie! Ale



... we wnętrzu walizki tkwiła fotografia płci żeńskiej, z przerażonym spojrzeniem ...

ja nie mam żadnych życzeń. Mnie jest wszystko jedno. Daj mi pod głowę omszały kamień, a będę szczęśliwy. Nie będę ci długo przeszkadzał, gdyż w najbliższych dniach oddam zapewne ducha. Na razie nie mogę tego uczynić, gdyż nie wiem, co się stało z moim duchem. Mam wrażenie, że jestem pękniętym garnkiem, a duch wyciekł ze mnie, jak rozwodnione mleko. Czy pozwolisz, że wydobędę z walizki moje rzeczy?

We wnętrzu walizy tkwiła zjeżona ze strachu szczoteczka do zębów i fotografia płci żeńskiej z przerażonym spojrzeniem.

— Czy to jest wszystko, co posiadasz? — zapytał rzewnie Kleofas.

— Mniej jeszcze, gdyż jedynie szczoteczka należy bezspornie do mnie, nie wiem natomiast, do kogo należy ta dama. Kochałem się w niej przed trzydziestu laty.

— Czy cię okradziono, przyjacielu?

— Gorzej! — zaszemrał Celestyn.

— Czy cię zniszczył pożar?

— Gorzej!

— Pan komornik?

— Gorzej! — jęknął Celestyn.

— Pytanie moje było nierozsądne... Komornik nie byłby cię wypuścił z przedmiotem tak cennym, jak szczoteczka do zębów. Z pożaru można cośkolwiek unieść, złodzieje są to czasami ludzie z sercem. Musiało cię dotknąć jakieś przeraźliwe nieszczęście. Celestynie! Przecież miałeś mieszkanie?

— Miałem mieszkanie i szafę, i łóżko, i piec, ale już nie mam mieszkania ani szafy, ani łóżka, ani pieca.

— Otrzyj łzy tą ściereczką od kurzu i rozgość się. Gość w dom...

— Nie mów tego! — ryknął nagle łagodny dotąd Celestyn.

— Rozumiem... „I wieprz i gość nigdy nie mają dość".

— Tak możesz mówić. Nie znam mądrzejszego porzekadła. Znacznie mnie pocieszyłeś, miły Kleofasie! Jeżeli znasz więcej takich roztropnych powiedzeń, wysłucham ich z należytą uwagą. Czy mogę usiąść?

— Nie mam nic przeciw temu.

— Zastanów się — rzekł Celestyn ponuro. — Gdybym ja się był zastanowił w takim samym położeniu, posiadałbym do dzisiaj i mieszkanie, i szafę, i piec. Jedynie naczelnik więzienia może śmiało rzec do gościa: „Niech pan sobie posiedzi, drogi panie!" — Ostrzegam cię raz jeszcze! Będę niepocieszony, jeśli tego pożałujesz!

— Mnie jest wszystko jedno! — rzekł Kleofas zuchwale. — Od roku nie płacę za mieszkanie.

— To zmienia postać rzeczy. Jesteś człowiekiem rozsądnym, zabezpieczonym i doskonale sytuowanym. Moje nieszczęście na tym polega, że opłaciłem mieszkanie za rok z góry. Za to zostałem ukarany.

— „Opowiedz nam!" — zanucił Kleofas.

— „Opowiem wam!" — zawył Celestyn. — Skoro w ciągu mojej opowieści zauważysz, że głupota moja przeszła wszelkie granice, możesz mnie pobić aż do utraty przytomności.

— Gościowi nigdy niczego nie odmówię — zapewnił go Kleofas ze słodyczą. — A teraz mów... Teren akcji?

— Ulica pod wiaduktem. Ciemny zaułek.

— Jaka pora?

— Dżdżysta noc. Deszcz siąpi, jak prelegent w radio, z beznamiętną wytrwałością. Na ulicach pusto jak na odczycie Tow. Trzeźwości. Ja idę powoli. „Wracam na Liban do mojego domu..." Brnę przez wodę nocy i rozmyślam nad tym, jak nieszczęśliwy jest człowiek, który w taką noc nie ma domu. Nagle słyszę jęk. Patrzę: jakaś figura układa się do snu na kamieniach pod mostem.



... jakaś figura układa się do snu na kamieniach ...

— „Stój!" — krzyknęło moje serce. Moje serce jest niezmiernie czułe na ludzką niedolę. Przystanąłem i powiadam: — „Co pan tu robi?" — Figura odpowiada: — „Zabieram się do snu!" — „W takim razie pan nie ma mieszkania?" — „Bardzo bystrze pan to zauważył..." — odrzekł mi zmokły puszczyk. — „Nie mogę na to pozwolić... Serce mi się kraje!" — rzekłem mu tkliwie. — Chodź pan ze mną, bo ja mam mieszkanie!"

— Celestynie, jesteś wzniosły!

— Głupi jestem też... Zabrałem ze sobą tego człowieka, nakarmiłem go, dałem mu koszulę i trzy papierosy. Ułożyłem go do snu na kanapie, a tak byłem wzruszony jego niedolą, że chciałem mu zaśpiewać cichutko: — „Śpij, dziecino już, czarne oczki zmruż!" — ale dałem pokój, bo drab zasnął z własnej chęci i po chwili chrapał. Zresztą bardzo mało przypominał dziecinę. Miał prawie dwa metry wzrostu i gdyby był z drzewa, byłby szafą. Ale mniejsza z tym... Rano dałem mu śniadanie i dwa papierosy. — „Czy nie ma pan odrobiny koniaku do kawy?" — zapytał mnie gość. Nie zauważył nawet mojego zdumienia. — „Bardzo tu przytulnie u pana! — rzekł z uznaniem. — Przyzwoity lokal! Tego i owego brak, ale można wytrzymać! I pan też mi się podoba... Już nie ma wielu takich, jak pan"... — Potem poprosił mnie o krawat...

— Dałeś?



... to moja żona! — oznajmił mój gość ...

— Dałem. Dałem mu też sto złotych — rzekł głucho pan Celestyn. — Potem sobie poszedł.

— Jest to historia pospolita.

— Za pozwoleniem! Gość wrócił wieczorem i odsunąwszy mnie łagodnie, zjadł moje serdelki. Potem mi wytłumaczył rozumnie, że kanapa jest na jego wzrost meblem zbyt krótkim, dlatego ja będę spał na kanapie, a on zajmie moje łóżko. Chciałem protestować, ale on ma naprawdę ze dwa metry. Zauważyłem też w jego charakterze cechy brutalne, dlatego znowu dałem mu pieniądze. Mój gość poszedł do szynku ze stróżem i kazał się zameldować. W tym miejscu incipit tragoedia... Bardzo go to uradowało, gdy się dowiedział, że mieszkanie jest z góry opłacone. — „To się doskonale składa, bo nie będziemy mieli nieprzyjemności!" — rzekł mi z uznaniem. — „Jak to: nie będziemy mieli?" — zapytałem nieśmiało. — „Czy pan chce u mnie zamieszkać?" — „Oczywiście — rzekł mi dryblas. — Przecie mnie pan zaprosił!"

Usiłowałem zazgrzytać zębami, ale uczyniłem to niezręcznie.

„Czy ja pana prosiłem — mówił dryblas, — aby mnie pan zabierał spod mostu? Zbyt jestem dumny, aby się zniżać do prośby! Jestem człowiekiem, który umie znosić przeciwności losu. To pan się uparł, to pan mnie zabrał przemocą!" — Kleofasie, czy słyszysz? Za moje dobre serce... Za moją litość... Ale to dopiero początek!

— „Dziwne rzeczy opowiadasz mi Abramku!" — jak mówią w „Kościuszce pod Racławicami". Mów dalej, w rzewnych momentach z cicha popłakując.

— Życie moje stało się rozpaczą. Sądzę, że czytałeś „Powieści z tysiąca i jednej nocy?" Żeglarza Sindbada prosił biedny staruszek, aby go przeniósł przez wodę na plecach. Uczynił to Sindbad, a starzec już nie zlazł z jego pleców i jeździł na nim jak na koniu. Mój gość jeździł tak na mnie. Wracam jednego wieczora do domu i z niezmiernym podziwem znalazłem w nim damę.

Wyrażenie jest może cokolwiek przesadne, dama bowiem przypominała raczej wydrę. — „To moja żona! — oznajmił mój gość. — Sądzę, że pan nie ma nic przeciw temu, aby kochające się małżeństwo było razem! Człowiek z pańskim sercem..." — Słyszysz, Kleofasie? Tak powiedział... A dama oświadczyła mi, że mi na mieszkanie wystarczy kuchenka. Zostałem przeniesiony do tej ubikacji i chodziłem rano po bułki i po gazetę.

— Czy ta kobieta była dla ciebie dobra?

— Zbytnio uskarżać się nie mogę. Przeciwnie! Miałem czasem chwile radości, gdy ta słaba istota zaczęła prać po pysku mojego gościa. Czyniła to z wdziękiem, a co najdziwniejsze, wśród głębokiego milczenia. Mniej mi się podobało, gdy na głowie tego goryla rozbijała moje talerze. Miałem ich dwanaście, a wczoraj było ich jeszcze dwa. Sądzę, że instynkt dobrej gospodyni każe jej te dwa zachować do codziennego użytku. Wiele mi też dało do myślenia to, że wczoraj oglądała żelazny garnek. Małżeństwo to nie jest idealne, zdołałem jednak wytrzymać trzy tygodnie. Przed niewielu dniami jednakże... Czy pozwolisz, że jęknę?

— Ulżyj sobie, przyjacielu...

— Przed niewielu dniami jednakże stało się coś strasznego. Goryl naradzał się długo ze swoją samicą, która rzekła, wskazując na mnie: — „To dobry człowiek, nie rób sobie ceremonii!" — Drab poszedł, a gdy powrócił, przyniósł w ramionach jakieś ciało.

— To moja babka — powiedziała mi dama. — Nie będzie panu przeszkadzała, bo jest sparaliżowana i zupełnie głucha...

— A gdzież ułożymy babkę? — spytałem ze zgrozą.

— Razem z panem, w kuchence... Sądzę, że pan nie skrzywdzi mojej babki!

Babka spojrzała na mnie podejrzliwie i zaczęła krzyczeć.

— Co krzyczała babka, Celestynie?

— Straszne rzeczy! Że się mnie boi, że mam złodziejskie oczy, że ją zaduszę... Wtedy dama na mnie z pyskiem: — Niech pan babci nie drażni! Dlaczego się pan nad nią znęca? Co panu zrobiła ta biedna istota? — Strasznie na mnie krzyczała i dama, i babka... A goryl zgrzytał zębami i rzekł: — Ładnie pan przyjmuje gości! — Wytłumaczyłem się, jak umiałem i przez trzy noce spałem z babką w kuchni. Ona na tapczanie, ja na ziemi. To jednak było najokropniejsze, że babka wśród nocy budziła się z piekielnym wrzaskiem i przeraźliwym rykiem.

— „Niech pan śpi spokojnie, — rzekła do mnie dama — babulce coś się przyśniło..."

— Czy nie udusiłeś babki?

Przychodziło mi to do głowy, ale jestem za miękki. Natomiast babka zeszłej nocy oblała mnie ukropem... Bardzo wiele było z tego śmiechu... — „Jaka ona jeszcze ruchliwa! — rzekła dama z uznaniem. — Ach, babciu, jakie się ciebie trzymają figle!" — Babcia była bardzo zadowolona i nawet uśmiechnęła się do mnie. Zobaczyłem, że ma jeszcze dwa zęby... To mnie przeraziło... Powiedziałem wczoraj:

„— Czy państwo nie mają nic przeciw temu, żebym się wyprowadził?"

„— Przykro nam, — odrzekli — ale każdy może mieć swoje kaprysy... Czy panu źle z nami? Zamiast mieszkać samemu w czterech ścianach, miał pan towarzystwo miłych ludzi... Trudno! Ale mebli chyba pan nie zabierze? Jużeśmy do nich przywykli..."



... przyniósł w ramionach jakieś ciało ...

Wziąłem, jak widzisz, szczoteczkę do zębów i fotografię. Uciekłem, a babka krzyczała za mną: „— Niech nas pan, kiedy odwiedzi!" — Dlatego przyszedłem do ciebie.

— Przyjacielu — rzekł Kleofas. Czy możesz mi przysiąc, że nie masz żony?

— Przysięgam ci, Kleofasie!

— Czy nie masz babki, co ma dwa zęby?

— Moja babka jest aniołkiem.

— Zatem usiądź przy moim ognisku!

Konsul nieistniejącej Rzeczypospolitej

(Dokończenie ze strony 3)

łc się w poniedziałek kilkadziesiąt osób, reprezentujących różne koła społeczeństwa polskiego — uczeni, rzemieślnicy, studenci, artyści, przejezdni różnego autoramentu. Staruszka pani Mickiewiczowa, Malewska z domu, miała również tradycje filareckie w rodzinie — głos jej jednak słychać było dość rzadko, bo głównym, a często i jedynym mówcą na tych zebraniach był pan Władysław.

Na ścianie, między dwoma oknami salonu, wisiał znany, tyle razy reprodukowany portret Adama, pędzla Wańkowicza. Było również kilka rzeźb w brązie — popiersia i medaliony poety, sztychy i akwarele — przeważnie pamiątki rodzinne. W tym dużym pokoju, oprócz czerwonej kanapy i dwóch foteli stało kilkadziesiąt krzeseł i wszystkie były w poniedziałki zajęte — młodzież przeważnie stała, a gospodarz, zjawiający się to tu, to tam, nigdy prawie nie mówił do jakiejś wybranej osoby — zwracał się do otaczających go grup gości i mówił o dawnych czasach.

— Opowiadał mi Wiktor Hugo — patrzyłem na tę manifestacje, siedząc na kolanach generała Dwernickiego — wiem na pewno, że tak było, bo długo mi o tym opowiadał Bogdan Zaleski — pamiętam, jak dyskutowałem te sprawy z rektorem Szujskim — a było to wtedy, gdy odwiedził mnie Moniuszko — wszystko to były bardzo często używane zwroty w opowieściach i anegdotach pana Władysława. Przejął się on zresztą sympatiami i antypatiami swojego ojca. O „panu Słowackim" mówił zawsze z odcieniem żalu, że był w stosunku do jego ojca niesprawiedliwy. „Pana Norwida" nie lubił. W ogóle, jeśli o kimś z ludzi dawno umarłych mówił „per pan", znaczyło to, że ma z nim jakieś odwieczne porachunki. Bardzo nie lubił Napoleona III i chętnie wspominał różne zdarzenia świadczące na niekorzyść drugiego cesarstwa. Z przekonań był raczej radykalnym lewicowcem, ale chciał to jakoś pogodzić z kultem pierwszego Napoleona, bo przecież „świętej pamięci ojciec — jak zawsze wyrażał się o Adamie — należał do zwolenników jego tradycji". Wspomniał o Sedanie i o oblężeniu Paryża w roku 1870. Uśmiecham się dziś na myśl, gdy pani Mickiewiczowa mówiła o okropnościach bombardowania miasta w tym okresie: „Waliły się na nas takie wielkie pociski. Każdy z nich ważył przynajmniej trzy czy cztery funty..."

Największy rozkwit salonu

Największe nasilenie przejezdnych i przez to samo największy rozkwit salonu państwa Mickiewiczów — to rok 1913. W jesieni tego roku bawili nad Sekwaną Stefan Żeromski, Władysław Reymont, Andrzej Strug, Wacław Sieroszewski. Stałym gościem był przyjaciel pana domu, znany socjolog dr Stanisław Posner. Widywało się często panią Marię Górecką, Mickiewiczównę z domu, córkę Adama, z synem dr. Ludwikiem Góreckim. Przychodził czasem młody, sympatyczny poeta Max Zaleski, sfrancuziały wnuk Bogdana, który zginąć miał w pierwszych dniach wojny. Bywali i starzy emigranci — Gasztowtt, Babiński, Jankowski, dr Węgleński, wnuk ministra Rządu Narodowego 1831 roku. Bywali uczestnicy powstania styczniowego. Jednego tylko z najciekawszych Polaków paryskich nie spotkałem nigdy na rue Guenegaud — starszego syna Adama, Józefa Rafała Mickiewicza. Bracia ci byli bardzo różni. Józef był skromny i nie lubił mówić o swym genialnym ojcu, obawiając się jakby, że posądza go o szczycenie się tym pochodzeniem — podczas gdy pan Władysław żył tą przeszłością i poświęcił jej wszystkie swe siły.

Klamra dwóch epok

Salon Mickiewiczów był czymś jedynym w swoim rodzaju, był klamrą, spinającą daleką przeszłość z początkiem nowej epoki. Po wybuchu wojny 1914 roku stał się on ośrodkiem myśli politycznej — miejscem, gdzie ścierały się dwie orientacje: legionowa i zachowawcza. Wkrótce zresztą pan Władysław z córką powołany był do oficjalnej roli — powierzono mu z ramienia rządu francuskiego misję objeżdżania obozów jeńców niemieckich i rozpoznawania między nimi Polaków, których następnie wydzielano. Stali się oni z czasem rezerwuarem żołnierza Armii Polskiej we Francji, proklamowanej 4 czerwca 1917 r.

Pan Władysław starał się zachować neutralność — z jednej strony bowiem był przeciwnikiem orientacji austriackiej — ale w grupie legionowej byli sympatyczni mu lewicowcy. Z drugiej zaś — niezbyt mu się podobało stawianie Dmowskiego na rząd carski i raził go konserwatyzm endecji — ale jako obywatel francuski musiał być lojalny wobec Ententy. Widać było, że czuł się w tych warunkach nieswojo. Dopiero gdy Ignacy Paderewski pojechał do Stanów Zjednoczonych i padło słowo „niepodległość" po stronie sprzymierzonych — mówił z radością o tej „wielkiej wojnie ludów", za którą tęsknił wielki jego ojciec.

Ów paryski dom Mickiewiczów, była to naprawdę jakaś „arka przymierza" między dawnymi, a nowymi laty. Pamięć o nim jest czymś realnym i żywym. Widzę jeszcze to wnętrze, to mnóstwo ludzi, przewijających się przez to mieszkanie — drobną staruszkę w salonie, pana Władysława z rozwianą, siwą czupryną, portret Adama, papugę państwa Paderewskich w klatce, zostawioną na przechowanie, ciemne, strome schody, na które wychodziło się z tego gwaru...

O północy przed drzwiami stawał pan Władysław i dawał każdemu z wychodzących małą, zapaloną świeczkę... Dał mi ją kiedyś na drogę — i nie wiedziałem wtedy, że tradycyjny ów stoczek paryski biorę po raz ostatni. Tak samo zapewne schodziło się przez ciemne schody leżącego niedaleko stamtąd w półzrujnowanego dziś domu, w którym mieszkał Adam Mickiewicz.

EDWARD LIGOCKI

Gustaw Morcinek

Dziwne rzeczy

Dziwne rzeczy działy się na świecie, gdy nadchodziły święta. Na poddaszu już nie straszył chudy Ruda, który był umarł na gruźlicę, szczury nie pokazywały swych wyszczerzonych zębów, nie ślepiły zimnymi, chytrymi oczami, nie wlokły za sobą długich, jakichś owrzo działych ogonów, stara Krupina nie robiła już piekła w sieni na parterze, rzężenie pary w tartaku przybierało urok wdzięcznego głosu klarnetowego, dymy niosły się prosto pod niskie niebo, hamulce przy maszynie wyciągowej



na szybie nie piszczały przeraźliwie, a stary i gruby Fafuła wywieszał w oknie wystawowym swego sklepu przeróżne śliczne rzeczy pełne kolorów, niezwykłych kształtów i słodkości. Potem matka przyniosła jeszcze grubego karpia i wpuszczała go do balii. W balii była woda, a karp fajtał ogonem, burzył wodę, a czasem zamyślał się głęboko i patrzył na mnie wybałuszonymi oczami.

Potem jeszcze matka znosiła do domu orzechy, opłatki, miód w szklance, struclę i cynamon do klusek. Ludzie zaś pogodnieli i uśmiechali się do siebie.

Na Żabkowie rzadko uśmiechali się ludzie do siebie. W domach była bowiem bieda, górnicy mało zarabiali, wracali z szychty zmęczeni i źli, klęli na swój żywot, a z kominów kopalni sączyły się czarne dymy i sączyły, i zakrywały słońce, z pobliskiej hałdy zaś czołgał się siny, krztuszący czad o zapachu zepsutego mięsa wędzonego, zatruwał płuca i wszelka radość konała w owym czadzie, zanim zdołał dojść do przedproża.

Lecz teraz ludzie pogodnieli i uśmiechali się do siebie. I to było chyba najpiękniejsze. Nawet ten chudy, zezowaty i ponury Ćmok z sąsiedniego domu, który zawsze bił swoją babę i łamał krzesła, teraz pokorniał i uśmiechał się na swój sposób. Podnosił zajęczą wargę i wyszczerzał zęby. Był wtedy podobny trochę do uśmiechającego się szczura, lecz ponieważ to jednak był ludzki uśmiech, więc Ćmok był wtedy piękny.

Potem było wielkie święto.

To było chyba największe i najpiękniejsze święto w całym roku.

Śnieg był szary i pachniał, jak tylko śnieg pachnieć potrafi. Przestrzenią, bielą, mrozem i słońcem. W śniegu można było się tarzać i wpychać go dziewczynom za kark. Czasem można było z niego lepić bałwany i stawiać je na ścieżce wiodącej z naszego domu czynszowego do obory pani Krupowej. Wtedy pani Krupowa strasznie krzyczała, wydziwiała i obiecywała nam szubienicę, gdyż przypuszczała, że to uczyniliśmy jej ze złośliwości.

W końcu był „święty wieczór" z kolędami.

Matka rozwierała kantyczki, siadała na małym stołeczku przy piecu i śpiewała. I ten śpiew matki był chyba znowu najpiękniejszy ze wszystkich dziwnych rzeczy. Wtedy widziałem i owych trzech Mędrców jadących na wielbłądach między zabudowaniami kopalni, i kudłatych pasterzy z owcami pod pachą, schodzących z dymiącej hałdy, i wołu widziałem i osła, i wielkie mnóstwo aniołów polatujących w tumanach czarnego dymu nad szybowymi kominami.

W piecu mruczał ogień, za piecem siedziała Kasia i mruczała pacierze do swego kociego boga, matka śpiewała kolędy, a ja słuchałem urzeczony.

Nazajutrz było drugie święto.

Ludzie wciąż uśmiechali się do siebie; górnicy chodzili odświętnie ubrani, w sztywnych, wysokich, wykrochmalonych kołnierzykach, ze ślicznymi krawatkami, w krawatki zaś były wetknięte małe pozłacane podkowy, jakieś kolorowe szpilki, kamyki świecące, wymyślne koniki z blaszki, wszyscy zaś byli ogoleni, ich ręce umyte i wyszorowane ryżowymi szczotkami, pachniały mydłem. Mimo to dłonie te były chropowate i twarde w dotyku.

Gdy się owi ludzie spotykali, poklepywali się wzajemnie po ramieniu i życzyli sobie dużo dobrych rzeczy, które się nigdy nie spełniały. Potem szli do kościoła, a gdy wrócili, jedli obiad, jakiego chyba nie jedli w ciągu całego roku.

My zaś chodziliśmy po „winszowaniu". Lub z gwiazdą betlejemską, lub zgoła ze stajenką.

Najwięcej nam dawał stary Tomala, szewc na Sowińcu, ten sam Tomala, który miał świętego Antoniego na kalenicy. Powiadał, że święty Antoni chroni jego domu przed pożarem. Gdy w kalendarzu było świętego Antoniego, stary Tomala przystawiał drabinę, wyłaził po niej na szczyt domu i zapalał świecę swemu świętemu opiekunowi. Tak długo, aż pewnego razu spadł z drabiny i złamał sobie nogę. Wtedy pani Krupowa każdemu opowiadała, że to jest kara boska, bo Tomala był pijany, gdy wyłaził do świętego Antoniego i że każe sobie płacić dużo za naprawę butów. Lecz gdy przyszliśmy do niego po kolędzie, ogromnie się uradował, częstował nas pączkami z powidłami i kazał nam śpiewać kolędy. My śpiewaliśmy, a stary Tomala siedział na szewskim stołku, cmokał głośno z zachwytu i ruszał śmiesznie grdyką. Wtedy nie mogliśmy śpiewać, bo krztusiliśmy się śmiechem. Wówczas nam przepowiedział ponurą przyszłość i wtykał nam do dłoni po kilka groszy.

Potem szliśmy kolędować do pana Sembola. Pan Sembol chodził już w kołnierzu i krawatce, i pisał w biurze tartaku. Poza tym miał w brzuchu tasiemca. Tego tasiemca truł od niepamiętnych czasów różnymi naparami, lecz nie mógł go otruć. Gdy nas ujrzał w sieni, wołał i zachęcał, by mu zaśpiewać kolędy. Potem narzekał przed nami na swego tasiemca i dawał nam po kawałku usmażonej ryby. Ta ryba miała dużo ości, więc musieliśmy wciąż pluć i jeden drugiego tłuc pięścią po karku, by się nimi nie udławić. Rybiego mięsa było w tym wszystkim mało, bo trudno, żeby z ogona lub z głowy coś powybierać.

Ryby zjedliśmy, a potem szliśmy jeszcze do starego Fafuły.

Fafuła miał wielki brzuch i trzy podbródki. Gdy szedł, sapał ogromnie i narzekał, że mu się źle idzie.



Ludzie twierdzili, że Fafuła ma dużo sadła na brzuchu, że brzucha nie może unieść i dlatego tak sapie, poci się i stęka. I że to sadło jest z krzywdy ludzkiej, bo dolewa wodę do mleka, gdy je babom sprzedaje, oszukuje na wadze, a do papryki sypie zmełtą cegłę. Poza tym sprzedawał górnikom, wracającym z szychty, małe moskaliki z cebulą i pieprzem, oraz wódkę w małych butelkach. Górnicy pili zawsze ową wódkę na stopniach wiodących z drogi do jego sklepu. Przytykali butelki do umorusanych ust, przechylali głowy do tyłu, zamykali oczy, a wódka przelewała się z bulgotem do gardła. Jakby ktoś tłustym palcem stukał po okiennej szybie. My zaś — a było nas trzech — kręciliśmy się koło nich i czekaliśmy kiedy nas ktoś z nich zawoła i poczęstuje cebulą czy wódką. Tak długo, aż dowiedziała się o tym matka. Wtedy bardzo się zmartwiła i powiedziała mi, że źle robię.

— A dlaczego źle?

— Bo widzisz, synku, pani Fafułowa jest chora. Ona nie może chodzić, bo ma chore nogi. A pan Fafuła nalewa zawsze spirytusu do wiaderka, przynosi do jej pokoju, a ona zanurza nogi w tym spirytusie i moczy je. To jej jakoby pomaga. Potem pan Fafuła ów spirytus zlewa z powrotem do beczki, miesza z wodą, napełnia butelki i sprzedaje górnikom.

Powiedziałem o tym wszystkim Robertowi i Pawłowi i odtąd już nie piliśmy wódki, gdy nas chcieli górnicy częstować.

— Czemu nie pijecie? To dobre!... — zachęcali.

— Nie pijemy, bo pani Fafułowa w tej wódce moczy swoje chore nogi!...

Odtąd stary Fafuła zaczął narzekać na zły interes. Górnicy przestali kupować u niego wódkę. Nam zaś obiecywał sromotny koniec, gdy tylko wpadniemy w jego łapy.

Ponieważ jednak w okresie świąt Bożego Narodzenia wszyscy ludzie byli uśmiechnięci, ksiądz proboszcz zaś wygłosił śliczne kazanie o Jezusku, który się gdzieś narodził i przyniósł pokój ludziom na ziemi, zawierzyliśmy przeto księdzu proboszczowi i poszliśmy kolędować do brzuchatego Fafuły.

Dotychczas omijaliśmy wielkim kołem jego sklep, zwłaszcza gdy go widzieliśmy stojącego na progu z wypiętym brzuchem.

— Wy chachary pierońskie!... — krzyczał na nas. — Wy lucypery!... Wy ślimoki zatracone!...

I tu już kończył z wymyślaniem, bo się zasapał i nie mógł tchu złapać. Groził nam tylko grubą lagą i spluwał w naszą stronę. My zaś wołaliśmy bardzo głośno, że jego wódka cuchnie, bo pani Fafułowa moczy w niej swoje chore nogi. I że kto ją pije, ten się truje i będzie również chorował!...

Wtedy pan Fafuła składał dłonie na brzuchu, podnosił oczy w niebo i prosił Boga, żebyśmy skończyli wszyscy na szubienicy.

Teraz jednak poszliśmy do niego z kolędami i z gwiazdą betlejemską. Uwierzyliśmy bowiem księdzu proboszczowi, że gdy się Chrystus rodzi, to człowiek staje się dobrym człowiekiem i wszystkie urazy puszcza w niepamięć. Nie wiedzieliśmy dokładnie, co to znaczy owo puszczanie urazy w niepamięć, lecz stary Tomala pięknie nam to wytłumaczył. Stary Tomala bowiem dużo wiedział, gdyż chadzał jako śpiewak z pielgrzymkami do Kalwarii Zebrzydowskiej i nawet dwa razy dotarł do Częstochowy.

— A pan Fafuła nie będzie nas bił? — upewnialiśmy się.

— Nie będzie, bo Jezusek się narodził! — oświadczył z powagą.

— Ha, jeżeli tak, to idziemy!...

I poszliśmy.

Mieliśmy na sobie długie koszule matczyne, przepasaliśmy się rzemiennymi paskami, na głowy wsadziliśmy królewskie korony z papieru i pomaszerowaliśmy z dużą gwiazdą na tyce. Trochę jednak dygotaliśmy ze strachu, lecz ponieważ należeliśmy do odważnych chłopców w całej kolonii górniczej, przeto przeżegnaliśmy się nabożnie przed progiem, a potem weszliśmy śmiało do sklepu pana Fafuły. U drzwi zaklekotał dzwonek, a z komórki, gdzie stały beczki z wódką, wyszedł zasapany pan Fafuła. Gdy nas ujrzał, aż podskoczył z radości.

— Chodźcie, chodźcie!... — zawołał słodko, pobiegł do drzwi, przekręcił w nich klucz i schował go do kieszeni.

— No, chodźcie bliżej, chodźcie!... — zachęcał nas, a równocześnie sięgał po grube biczysko w kącie sklepu. Sprzedawał bowiem także furmanom grube biczyska z rzemieniami.

Teraz już wiedzieliśmy, co nam grozi. Oto łajdak zapomniał, że się Chrystus narodził, czekał długo na sposobność, teraz weszliśmy w jego łapy i nareszcie odbija sobie na nas tę krzywdę, jaką mu wyrządziliśmy. Rzuciliśmy się do drzwi, lecz drzwi zamknięte!... A Fafuła nic! Trzyma najgrubsze biczysko, uśmiecha się zjadliwie, biczysko obraca w dłoni i cieszy się, że nas złapał!...

Uczyniliśmy przeto okropny wrzask. Paweł tylko płakał rzewnie, klękał i dłonie składał jak do pacierza i beczał jak zarzynane cielę, Robert zaś i ja wrzeszczeliśmy okropnie. Korony nam pospadały z głów, gwiazda betlejemska walała się na podłodze, świeczka w niej zgasła, a Fafuła nic!... Podchodzi z biczyskiem, zapędza powoli za ladę i teraz skrada się do nas. Jego wielki brzuch trzęsie się ze wzruszenia, jego rybie, wytrzeszczone oczy śmieją się z naszego lęku, biczysko podryguje w dłoni... Lecz zanim zdołał nas do reszty osaczyć za ladą, z drugiego pokoju doleciało nas jęczące wołanie pani Fafułowej.

— Co się tam robi?...

I tu nastąpił cud! Przekonaliśmy się teraz, że ani ksiądz proboszcz ani stary Tomala nie cyganili. Lecz jak to się stało, trudno było nam zrozumieć. Bo oto Fafuła odrzucił biczysko i rozciągając szeroko ramiona, wpędził nas do pokoju pani Fafułowej. I ujrzeliśmy ją leżącą w łóżku, pod pierzyną, bladą, suchą, podobną do mumii z tego obrazka, który wisiał w szkole na korytarzu. I musieliśmy jej śpiewać kolędy. Śpiewaliśmy je chyba najżarliwiej ze wszystkich kolędników na całym świecie, a pani Fafułowa płakała ze wzruszenia, wycierała zmęczone oczy chusteczką, a



co skończyliśmy jedną kolędę, prosiła o następną. W przerwach powsadzaliśmy królewskie korony na głowy; Karlik zdołał wyprostować pomiętą gwiazdę na tyce, zapalić w niej świecę, tylko Paweł już nie umiał przylepić z powrotem swoich konopnych wąsów pod nosem. Nasze wąsy były wymalowane sadzą, więc chociaż trochę rozmazane, lecz były wciąż wąsami.

Długo śpiewaliśmy, a podczas śpiewania Karlik chodził z gwiazdą betlejemską koło łóżka pani Fafułowej, ona zaś wciąż chlipała rozrzewniona i powtarzała, że to śliczne...

A gdy już skończyliśmy śpiewać i zabieraliśmy się do wyjścia, pani Fafułowa zaś cichutko łkała, stary Fafuła mruczał coś udobruchany i wpychał nam do dłoni po bochenku chleba, po wieńcu suchej kiełbasy, a do kieszeni wkładał nam pełne garście cukierków.

— A jutro zaś przyjdźcie! — rzekł jeszcze w progu i nawet mnie pogłaskał po głowie.

ROMAN LESZCZYŃSKI

Wigilijna ballada



Noc. Zimno. Wał chmurzysk
Ku ziemi się zniżył
I księżyc rogaty,
Odwieczny rekwizyt,
Zaglądał spoza nich

Szyderczo, ciekawie,
Aż wreszcie wśród nieba
Zatrzymał się, zawisł,
Tak jak na choince
Zabawka z tektury...
I wówczas anielskie
Ozwały się chóry
I mocno zabiły
Serduszka dziecięce.
Kolęda! Do szczęścia
Nie trzeba nic więcej.





Robotnik Jan Sosna
Wspomina. Myśl niesie
Do czasów, gdy liczył
Zaledwie lat dziesięć,
Gdy nie znał choinki,
Ni kolęd, ni święta...
Robotnik Jan Sosna
Te czasy pamięta,
Gdy ojca w kopalni
Zabiło, przygniotło,
A jego do pracy
Zły człowiek gnał miotłą,
Gdy marzył o butach,
O cieple, o szkole
I nie znał ni święta,
Ni zabaw, ni kolęd.

Światełka choinki
Zabłysły wśród nocy.
Radosne, roześmiane,
Dziecięce lśnią oczy,
Łomocą serduszka,
Bo szczęścia za wiele
I zda się, że w niebie
Śpiewają anieli
I w górę wytryska
Kolęda radosna!...
O dawnym swym życiu
Wspomina Jan Sosna.
Lat miał już trzydzieści,
Gdy w samą wigilię
Gryzł wargi i pięści
Zaciskał w bezsile,
I w piersi mu głucho
Dudniło z rozpaczy:
Kazali mu odejść —
Zwolnili go z pracy...

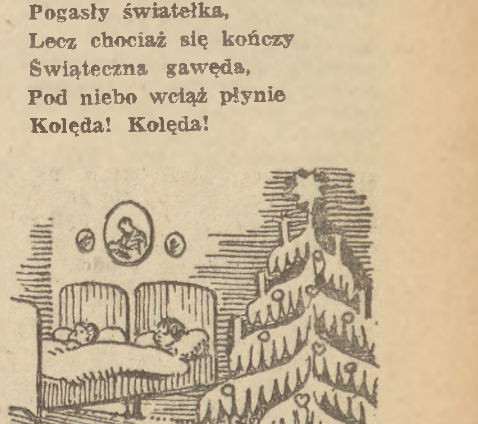




Wiatr okno zatrzasnął
I zrobił się przeciąg.
Robotnik Jan Sosna
Spogląda ku dzieciom,
Na twarze roześmiane,
Radosne, przejęte...
Zapomniał o wszystkim
I cieszy się świętem,
Bo wie, że wiatr nagły
Nic złego nie wróży
I los, jaki on miał,
Już się nie powtórzy,
Że czasy przeklęte
Przeszły bezpowrotnie
I przyszłość buduje
On sam, on — robotnik!



Śpią dzieci rumiane.
Wiatr ucichł i nie łka.
I już na choince
Pogasły światełka,
Lecz chociaż się kończy
Świąteczna gawęda,
Pod niebo wciąż płynie
Kolęda! Kolęda!



Ewa Szelburg-Zarembina

Ilustrował Ignacy Witz

O pięć godzin lotu

Powyż chmur, na ostrzu wirchów suche szkliwo lodu. Lotny szron gwiazd skrzy się między spadający gęsty śnieg. Pod rozłożystym czarnym niebem czerń kiełzkich dróg — wszystkie zasupłane w węzeł po środku kotliny. W kamiennej kotlinie płaskie łapy iglastych drzew niemych biją o powietrze. Powietrze prute jest ludzkim krzykiem, nieludzkimi jękami. Jest poszarpane strzałami.

Na niebie łuna. Na ziemi błoto. Na śniegu jasna, czysta krew. W ucieczce Niemcy, brudny. bełkocący potok, spływają ulicą Nowotarską, ulicą Kościeliską. Wsparci o karabiny jak o kostury, z kosturami zamiast karabinów pełzą na oślep w każde przejście, omackiem zawracają po własnych niepewnych śladach, patrząc na ludzi i ludzkie domy blaskimi oczami ze stężałych twarzy, martwych już przed czasem.

Noc ściera ich z powierzchni.

I nagle — z tej nocy, spomiędzy czarnego, ruchomego śniegu, spod nieruchomych białych gwiazd wynurzają się zwycięzcy! Gwiazdy czerwone na ich czapkach.

Przecięli osiedle błyskawicami, piorunem przewalali się przez osiedle. Zostawili za sobą · oszołomiony rój ludzki, raptownie przywrócony życiu, dyszący cały jednym jedynym słowem, nie mogącym wydobyć się na głos ze ścisniętych gardeł. Małe dziecko. chłopak, łapiąc oddech w szeroko otwarte usta, biegł przyboś, biegł, gubiąc kierpce, za nimi! za nimi! W biegu bez tchu ustawszy, dobył jednak z cienkiego nagiego gardłeczka głos, on pierwszy, — Wolność! —

To jeszcze ciągle była noc. Ale zaraz potem przyszedł dzień. Jest jasny i ostro oświeca wszystkich i wszystko. Przy drodze pod Giewontem obozuje zbrojny oddział tęgich zuchów, zmachanych skuteczną bitewną młocką.

Z włosami czesanymi przez słońce. krzepki i tęgi olbrzym, Ilia Murowiec w watówce, z automatem i czerwoną gwiazdą zgarnia łopatą dłoni puch górskiego śniegu do po-



... wdycha czaj i pije a twarz mu rośnie w uśmiechu ...

lowej pogiętej, blaszanej menażki. Topi go. chłodny i czysty nad ogniem z huby i szczap mokrych, na kipiątek[1]). Kipiątkiem czaj zaparza. Wdycha czaj i pije, a twarz mu rośnie w uśmiechu. Uśmiechnięty okrągło. szeroko, bez cienia samochwalstwa, w głębokim przekonaniu, dobrodusznie — chłop, który rozciera na dłoni dostały kłos żyta... robotnik. który ugniata jak ciasto sztabę żelaza... nauczyciel, wykładający uczniom prawidła pisowni — żołnierz ten, wypowiadający sumiennie zadania bohaterskie: ludzki obowiązek zwyciężenia wrogów ludzkości, mówi w swej mowie, którą rozumiałabym nawet wtedy, gdyby nie była wyrosła z tego pnia, co i moja mowa, tak to, co mówi człowiek ten. proste jest: broniąc ojczyzny, oswobodzili i nas.

„Teraz i wy żyjecie już swobodnie. My jeszcze pobijemy Hitlera w Berlinie. Pobijemy i wrócimy do pracy".

*

Ilia Murowiec z Bylin, jadący samotrzeć, marynarz z okrętu „Potiomkin" leningradzki robotnik w podmuchu wielkiego Października, obrońca Stalingradu, chłop kołchozowy, zdążający na pancerce przez polskie drogi do gniazda hitleryzmu w Berlinie — zawsze to ten człowiek, którego spotkam teraz (w trzy lata po wojnie, po trzech latach odbudowy) gdy aeroplan, startujący w Warszawie w ciągu pięciu godzin lotu przenosi mnie na lotnisko pod Moskwą.

W Moskwie jestem po raz pierwszy. Po raz pierwszy w ZSRR.

[1]) wrzątek

Jeżeli podróż odbyła się w przestrzeni normalnie określonej kilometrami i w czasie liczonym na godziny, to był to tylko pozór. Naprawdę przerzucona zostałam po prostu w inny wymiar. co czuję już z pierwszym oddechem, przynaglającym serce do bicia, z pierwszym usłyszanym słowem i pierwszym zamienionym uściskiem dłoni.



... pięknem i siłą swego kraju są kobiety radzieckie ...

Od tej chwili brak mi będzie słów — na wszystko. Słowa, którymi rozporządzałam dotąd. zachowają już tylko swój dźwięk, ale treść wypełnia je inna i barwę uczuciową mają inną. Nawet te, zdawałoby się, jednoznaczne: miłość, praca, sztuka.

— Cóż — myślisz prostszego. jak opisać kolejno doznane wrażenia niespodzianki, podziwu, wątpliwości, zachwytu, lęku i spokoju. — Cóż — myślisz — łatwiejszego, jak skreślić wygląd miasta, ulic, ruchu, oddać wizerunek ludzi w ich miejscach pracy i rozrywki. Ileż bo już oglądało się, po raz pierwszy, stolic i ich mieszkańców.

Tak, mogłabym napisać, że położenie Moskwy... że jej architektura... że niezwykły rozmach budownictwa... że ruch samochodowy... że metro (moskiewskie metro!)... że pałace kultury... nocne sanatoria wielkich zakładów fabrycznych... że żłóbki, wypożyczalnie dziecinnych zabawek do domów... frekwencje w teatrach, muzeach, bibliotekach... To wszystko byłoby prawdą i — nie byłoby nią. Ani ZSRR nie jest krajem jak inne. Ani Moskwa innym stolicom podobna. Ani ludzie tamtejsi — nie - cudzoziemcy, oglądani przez turystkę.

Najbliższe prawdy byłoby wyznać, że jest to po prostu cały świat. Nowy. Że są to twórcy świata. Innego.

Określić go? I ich?

Są dzieła temu poświęcone (we wszystkich językach, mnóstwo). pisma, filmy, wreszcie góry cyfr i jest — życie. Ani wiarygodne dzieła, ani pisma ani filmy, ani ścisłe cyfry nie oddają całkowicie wagi tego, co już tam jest, wagi tego, co jeszcze będzie Życie, ono — raz. Ale po to trzeba znaleźć się tam choć na krótko. Samemu na własne oczy i uszy usłyszeć, zobaczyć, dotknąć. Dotknąć ciała i krwi teorii. Żywego ciała i pulsującej krwi — socjalistycznego, komunistycznego świata.

Na Kremlu, gdzie pod chmurnym niebem złoci się las starych kopuł, gdzie w salach muzealnych lśni złoto carskich i cerkiewnych skarbów, dane mi było oglądać dzwon — olbrzym, dzwon-car, największy ze wszystkich dzwonów świata. Leży na ziemi, a wiatr ze śniegiem przenika wskroś jego rany. Dzwon-rozbitek jest także dzwonem — niemową. Przed kilkoma setkami lat, w dniu, w którym na rozkaz i dla dumy cara został ulany i podnoszono go na dzwonnicę, od tarcia śpiżowego ciężaru zatliło się drewniane rusztowanie. Runął spiż z rozgorzałego pożaru prosto w wodę w dole, dno przebił i pod ziemię na wiele stóp się zarył. Znikł z powierzchni, nie zdążywszy wydać dźwięku. Zapomniany przeleżał pod ziemią czas długi, aż wydobyto go z trudem na powierzchnię. Z powierzchni tej ziemi znikli carowie. Dzwon leży tu i teraz także, dzwon-car, dzwon największy w świecie.

Ale ja dziś inną opodal oglądałam wielkość.

W Stalinowskich Zakładach Automobilowych w odlewni płoną piece, gdzie wrą metale. Halę wypełnia żar, olbrzymie iskry — pomarańczowe, purpurowe i błękitne włócznie ognia ciskane z wnętrzy pieców — prują mrok. Strumienie metalu pienią się oślepiającym białym blaskiem. Biała rzeka płynnego metalu skręca posłusznie, kierowana rękami kobiety. Kobieca twarz, złota od potu, schyla się spokojnie, miarowo nad żelaznym kipiątkiem. Oczy z lekka osłonięte ochronnymi szybkami, p trzą uważnie — u-waż-nie.

Wśród zawieruchy iskier i płomieni, urzeczona, posuwam się wraz z robotnicą wzdłuż jej trasy przez halę. Patrzę na ręce te, na twarz surową, jednobarwną, jak wyrzeźbioną z piaskowca, na całą postać tak drobną, a tak olbrzymią. Nie mówię do niej. Ruch każdy jest tu obliczony i obliczona jest każda minuta. Ale oto kobieta w jakiejś chwili obraca się, na mgnienie, ku mnie i na mgnienie cała rozkwita uśmiechem przelotnym a serdecznym, jak skinienie dłonią u skrzyżowania spotykających się dróg.

Zabieram ze sobą ten uśmiech, gdy odchodzę stamtąd.

...Może spotkamy się jeszcze dziś wieczorem w teatrze na sztuce (francuskiej), gdzie ludzie mówią wierszami i umierają z miłości do siebie („Cyrano de Bergerac"), albo na tej drugiej (rosyjskiej), gdzie także umierają, ale z prostego obowiązku, broniąc świadomie i zwycięsko życia całego miasta, całego kraju („Pobieditieli").

...Może wyminiemy się w walcu wśród tysiąca par. tańczących na parkiecie balowej sali w Pałacu Kultury, lub ustąpimy sobie krzesła w zacisznej czytelni literackiego „kółka"[2]).



...czekają zharmonizawaną Trójcą wiśniowo-niebieski, niebiesko-zielony i ten trzeci anioł ...

Za dnia, w czasie wolnej zmiany, na jej przyjście do Tretiakowskiej Galerii Malarstwa czekają zharmonizowaną Trójcą wiśniowo-niebieski, niebiesko-zielony i ten trzeci anioł, któremu przed pół tysiącem lat Andrzej Rublew nie zdążył pokryć sukni żadną barwą. Pogodni, z ludzkim, głębokim wzruszeniem w malowanych twarzach, wtajemniczą w wiecznie żywy świat piękna ją która cała jest pięknem.

[2]) kółko literackie.

Pięknem i siłą swego kraju są kobiety radzieckie. Portrety ich są tak liczne wśród przodowników pracy w fabrykach, nazwiska tak gęsto wypełniają karty złotej księgi, że czujesz wszędzie ich czynną obecność. Jest tak, jak gdyby potęga macierzyństwa przekroczyła granice poszczególnych ciał. rozsunęła szczupłe ściany rodziny i objęła, twórcza i opiekuńcza, cały ten zdumiewający, trzydziestojednoletni świat.

* * *

Szklane, choinkowe puszki śniegu wirują w północnym wietrze nad ulicznymi stoiskami i osiadają na stosach bladoróżowych, stożkowatych jabłek i drobnych, zielono-żółtych mandarynkach. Lśniące paznokietki sprzedawczyni, odzianej w śnieżnobiały chałat, migają purpurą lakieru wśród owoców i śniegowych gwiazdek. Czerwonymi językami zawzięcie liżąc lody w srebrzystych papierkach, dzieci wędrują ze śmiechem przez pierwszy śnieg. Zgromadza je dziecięcy teatr. Brzęcząc i szemrząc, wypełniają go szczelnie, od parteru po galerię. W powodzi małych widzów — wysepka — widz dorosły: ojciec, matka lub babka, nauczyciel. Dzieci z pogodą znoszą ich obecność, całe zajęte swoim obecnym na widowni autorem (Michałkow, laureat nagrody Stalina), jego fragmentami dobrze im znanych sztuk, jego wesołymi, dydaktycznymi wierszami, które umieją na pamięć. Dla nich recytują je, dla nich grają najlepsi aktorzy moskiewskich teatrów, a dzieci nagradzają artystów oklaskami, świadome ważności swego uznania. Gdy na scenie, w sztuce „Czerwony krawat" rozgrywa się dziecięcy dramat młodziutkiego pioniera, wszystkie „czerwone krawaty" na widowni (jest ich mnóstwo) zdradzają tak oczywiste poruszenie, że autor, siedzący w głębi loży nad proscenium, widzi jak na dłoni, że nie ma koło niego sceny i widowni, nie ma teatru, ale jest jedno, realne życie.

Tłok (ale nie ścisk bezmyślny) bywa tu we wszystkich teatrach, kinach. Chcąc obecnie trafić do muzeum. doprawdy wystarczy spostrzec kolejkę ludzi przed wejściem do jakiegoś gmachu. Bo tutaj ludzie walą do muzeów jak w innych krajach na sensacyjne igrzyska. Ale i muzea tutaj nie są podobne muzeom gdzie indziej. Oto krok za krokiem, przez amfiladę sal przesuwam się w tłumie starych chłopek, młodych żołnierzy, robotnic, robotników, dzieci szkolnych, inwalidów wojennych, słuchaczy wyższych uczelni, ekspedientek. Przyciszone, ale wyraźne, harmonijnie stonowane głosy przewodników nadają rytm poruszającym się tłumom. Nie idą z żadną z gromad, krążą między nimi, a co chwila to dziecko w szarym, watowanym płaszczyku i z roz czerwienionymi z ciekawości uszkami, to kościsty starzec z jakimiś godnymi wstążeczkami i orderami w klapie schludnej marynarki, to rumiana kobieta w szydełkowej białej chusteczce, naciągniętej aż na jaskółcze skrzydełka czarnych, prostych brwi nad z lekka skośnymi, bławatkowymi oczami — uśmiechają się do mnie przyjacielsko i zapytują mnie ufnie o jakieś szczegóły zastanawiające ich przed gablotkami. A gdy nie od razu zdobywam się na odpowiedź, lub odpowiadam niezupełnie dla nich zrozumiale, zawsze znajduje się ktoś, kto usłyszał, wie, pokaże, wytłumaczy, gdyż



... sznur ludzki w głębokim, zupełnym milczeniu zbliża się wolno do wejścia ...

wielu bywa często tu, w Muzeum Lenina, które jest całe jakby jednym, na liczne karty sal rozpisanym podręcznikiem historii. Historią Rewolucji i dziejami Wszechrosyjskiej Komunistycznej Partii bolszewików. Tej partii, której twórca umarły — Lenin i wódz żywy — Stalin, czuwają nad Moskwą, nad Związkiem Socjalistycznych Republik Rad.

* * *

Ostro tnące krople deszczu wmieszały się w lepki śnieg, gęsto lecący. Wiatr zły, lodowaty, kąsa twarze, szarpie odzież, przenika ciało, kości i szpik w kościach. W deszczu, śniegu, na tym wietrze stoi i wciąż powiększa się nieprzeliczony sznur ludzi. Milczą. Cierpliwi. Cali wydani na potężne wzruszenie. Twarze im stężały skupieniem. Oczy mają utkwione w to, co przyciąga tu ich wszystkich: w ciemny, połyskliwy blok marmurów. rysujący się u czerwonego muru Kremla na Czerwonym Placu (placu czerwienionym krwią ludu moskiewskiego, kaźnionego na nim przez carów Iwana i Piotra) — Mauzoleum Lenina.

Mijają kwadranse, godziny. Sznur ludzki w głębokim, w zupełnym milczeniu zbliża się wolno do wejścia. Krok za krokiem posuwa się czarnym marmurowym wnętrzem. Krok za krokiem schodzi po stopniach czarnych marmurowych schodów w dół, pod ziemię, aż do miejsca wiecznego spoczynku swego Zmarłego.

Kryształowe tafle nie zatrzymują spragnionego wzroku nawiedzających. Przez chwilę tyle tylko długą, ile trzeba na okrążenie wolnym krokiem śmiertelnego łoża — oczy łaknące tego widoku spoczywają na nieruchomej postaci tego, którego całe życie było zaprzeczeniem bezruchu, martwoty.

Wielka jest siła w przywiązaniu ludzi do idei, która oblokła się była w kształt cielesny, chociażby i śmiertelny. Nie ze śmierci jednak płynie wielkość Zmarłego, lecz z jego nie ustającej tutaj obecności. Gdy dotykam ramieniem drżących ramion ludzi, z jakimi zstępuję do tego grobu, który zaiste jest kolebką ich wiary i siły, czuję, iż jest on obecny tutaj, pod marmurami i tam, na Czerwonym Placu w wichrze i w śniegu, i w deszczu, w pędzie maszyn, w piętrzeniu się gmachów. w tętnie metra, w sercach i mózgach ludzi.

Z mauzoleum — trybuny, razem z żywymi członkami rządu i partii przyjmuje paradę armii i defiladę robotników.

Zaklaskały podkowy konnicy. Toczą się koła wozów wojennych, armat, katiuszy. Grzmotem swego lotu napełniają niebo rakietowe samoloty. Płyną sztandary. Unoszą się nad falami głów podobizny zasłużonych, bohaterów pracy. Migocą, lśnią transparenty z hasłami. W huraganie oklasków megafony powtarzają wielokrotnym echem okrzyki na cześć wodza — Stalina, na cześć towarzysza — Stalina. Huczy plac, tętni, dzwoni bruk i ziemia drga pod brukiem od stąpań tysięcy i tysięcy nóg, maszerujących naprzód, naprzód, naprzód.

Oczy olśnione kolumnami wojska. oczy oślepione wojennym żelazem zatrzymuję na długo na jednym z mijających mnie ludzi. Młody, szczupły mężczyzna z otwartą, jasną twarzą, skłonną do zamyśleń, z ciemnymi, pełnymi blasków oczami. Wysoki, góruje nad otaczającą go grupą muskularnych towarzyszy. W prawej ręce wznosi nad głowami szkarłatną tablicę ze złotymi literami wypisanym postanowieniem przekroczenia planu produkcji fabryki tkackiej. Gdy tak odmaszerowuje od trybun, głowę trzyma jeszcze na baczność, ale oczy już zwrócił, opuścił ku lewemu ramieniu swemu, na którym — jakże ostrożnie! — niesie objąwszy je mocno, swoje roczne dziecko w bielutkich rajtuzach i błękitnym sweterku. Dziecko wyciągnęło rączkę i dotknęło palcem rozhuśtanej. złotej frędzli transparentu, a potem dotyka policzka ojca i śmieje się z radości. Ojciec może już teraz odwrócić głowę. Odwraca ją i odpowiada szerokim uśmiechem. w którym obejmuje nie tylko dziecko, ale i młodą kobietę maszerującą obok niego, krok w krok. Żona, matka.

Widzę ich jeszcze dziś, dwoje, w tym jednym uśmiechu zdążających naprzód, na uczczenie życia, na powitanie pokoju.

Im to i takim jak oni, chciałabym poświęcić moją sztukę, którą zaczęłam pisać po powrocie z kraju, jaki nie ma sobie podobnego.

Marta Reszczyńska

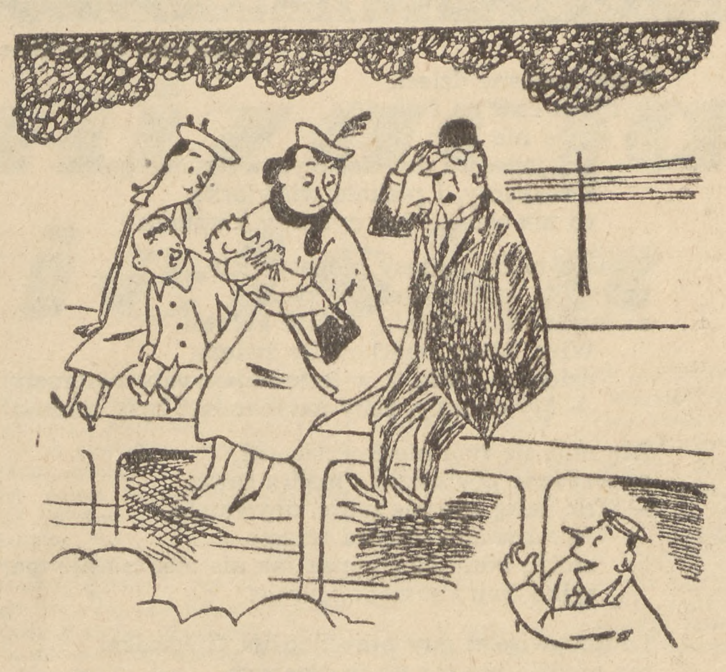
Śnieżna opowieść

Mróz na ziemię legł...
wciskał się po brzeg
w czarne, twarde koleiny
pustej drogi, w dal biegnącej...
Dwie — trzy gwiazdy mrugające
pełzły niebem drżąc złociście —
a po szybach srebrem liści
modry księżyc ciekł...
Chłód w stajence trwał —
ziąb przez szpary wiał...
Drżeli z zimna aniołowie,
ziębli mali pastuszkowie...
Rósł na ścianach szron kosmaty...
Wkoło stały cudze chaty:
syte chaty, ciepłe chaty —
a w stajence, w sianie zmiętym,
w biały rąbek owinięty
mały Jezus spał...
— Czym Cię okryć mam?
Cóż Ci, biedna dam,
mój Syneczku, mój maleński —
Jakie zimne masz nóżeńki...
Inne matki swe kruszynki
tulą w chusty i pierzynki,
a ja? Cóż ja mam?...
Wyszła w łzach przed próg,
pełna trosk i trwóg —
aż tu patrzy: coś się snuje,
coś się kłębi, coś wiruje,
jak rój białych much!
Z mroźnej pustki, z głębi chłodnej
taki miękki i łagodny
leci biały puch!
. . . .
Padał, padał śnieg...
Białą ciszą legł
na głębokie koleiny,
legł na drogę chustą mglistą,
rósł w pierzynki biel puszystą...
Rósł na drzewach puch okiści,
a po szybach srebrem liści
modry księżyc ciekł...

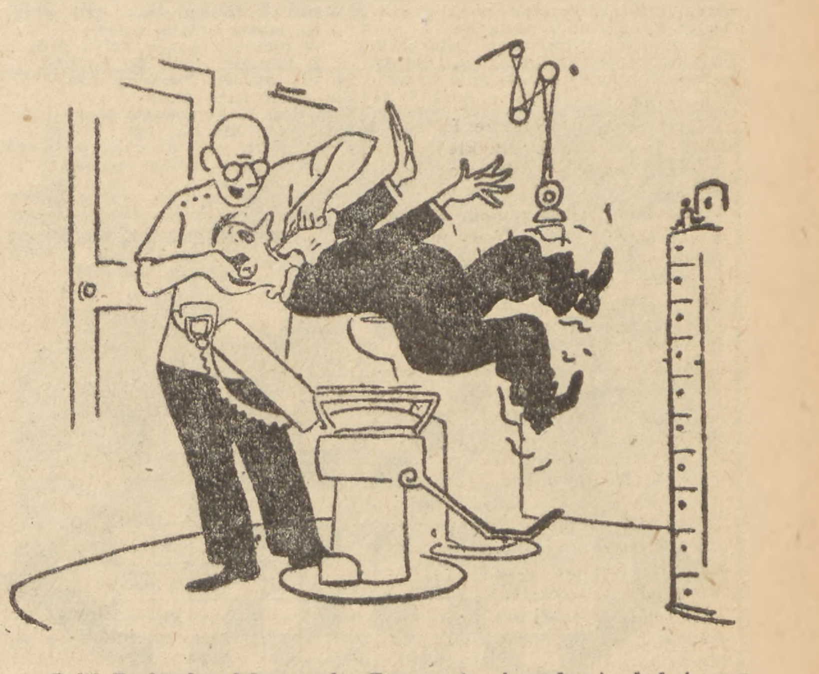
Świat się śmieje...



— Tyle gadania o bombie atomowej a jak przyjdzie co do czego, to ci dają łuk na gwiazdkę!



— Można już zejść, kontroler przeszedł!



— Boli? To bardzo dobry znak... Znaczy to, że ząb nie był jeszcze zepsuty...



Pojedynek między marynarzami.



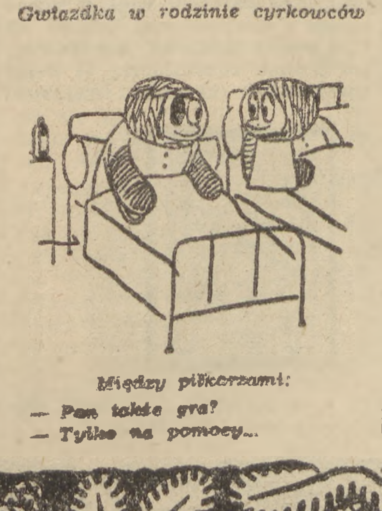
— Hallo! — Milicja? — Proszę go nie szukać, już go sama znalazłam!



Gwiazdka w rodzinie cyrkowców



— Biedna mama, tak się cieszyła z nadchodzących świąt!



Między piłkarzami:

— Pan także gra?

— Tylko na pomocy...

Niejaki X

Wenus z Milo

(Humoreska o troszkę kradzionym temacie)

Mac Allister, Mac Canister i Mac Aligator, trzej przyjaciele do whisky i miski oraz do rzeczy i do pakunków, siedzieli w barze „Californian Poppy" i rozmawiali o tym i owym oraz o tamtym

Rzecz cała działa się w miejscowości Black Bottom, w stanie Iowa, na północny zachód od Chesterfield oraz na południowy wschód od Lucky Strike.

Słońce świeciło jasno, drzewa szumiały, a z nie dokręconego kurka wodociągowego przy kontuarze kapała ciurkiem woda. Było bardzo przyjemnie

Trzej panowie byli ubrani niemal wytwornie. Mac Allister miał na sobie garnitur koloru śliwkowego w jasno-pomarańczową kratę, Mac Canister posiadał ciemne spodnie w paski i marynarkę barwy zachodzącego słońca, a Mac Aligator nosił z wdziękiem ubranie pepita. Krawaty wszyscy mieli w jednakowym kolorze, przypominającym dwa jajka w szklance, na znak, że każdy z nich należy do Klubu Przylądka Dobrej Nadziei.

— Yah — rzekł nagle Mac Allister — to wszystko jest piękne, ale ty Johnny (tu zwrócił się do Mac Aligatora) za mało dbasz o siebie. Zarobiłeś duże pieniądze na handlu starymi kluczami od pudełek do sardynek, oraz goląc agrest i sprzedając go jako najnowsze winogrona oregońskie bez kiści — a tymczasem w twoim domu prócz pianoli marki „Extra", grającej w myśl prospektu reklamowego każdy utwór trzy razy szybciej, niż normalna pianola, oraz gwizdka przy czajniku, gwizdającego na trzy głosy „Why did I kiss that girl...?" nie ma żadnych obiektów kulturalnych..!

— Kupiłem przecież — bąknął Mac Aligator — najnowocześniejszy odkurzacz elektryczny, który zastępuje namiot campingowy, a w razie czego może służyć jako stolik do bridża. Po złożeniu zaś — wiecie — i po ustawieniu tego odkurzacza w kącie świetnie on imituje sztuczny krzew różany... Poza tym — dodał z triumfującą miną — zawiesiłem w swym samochodzie ostatnie zdjęcie z „Life'u", przedstawiające wodospad Niagary wraz z reklamą Coca-Coli...

— Bardzo lubię Coca-Colę — wtrącił Mac Canister.

— Cóż więc więcej chcecie? — ciągnął dalej Mac Aligator. — Chyba już dla kultury zrobiłem dosyć...

— Głupstwa mówisz, Johnny — odparł Mac Allister — To jeszcze przecież nie wszystko. Powinieneś sprawić sobie coś więcej...

— A co...?

— Czy ja wiem? Może taką bibliotekę, której nie potrzeba czytać? Wiesz, czytałem dzisiaj w „Black Bottom News" ogłoszenie, że firma Darby, Smith and Holiday Cincinnati wypuściła na rynek takie właśnie biblioteki. Jest to piękne urządzenie półkowe, zajmujące całą ścianę, a na tych półkach książek, a książek.. Tylko, że to nie są takie prawdziwe książki, tylko takie sztuczne, wiesz? Namalowane. Ale aż do złudzenia... Oh boy, siedzisz sobie wygodnie w fotelu, patrzysz na taką bibliotekę i mówisz sobie: „Ile ja mam książek!" A goście myślą tak samo...

— No, dobrze — zauważył Mac Canister — a jak gość jaki zechce wziąć którąś książkę do ręki?

— Chłopcze, przecież wszystko jest oszklone, a szyb nie da się rozsuwać, rozumiesz...?

— Rozumiem .. Ale wiesz, te jednak mnie się nie podoba. Wolałbym coś innego...

— A co?

— Czy ja wiem...? Może by jakiś obraz, albo posąg...

— Posąg? — zdumiał się Mac Allister. — Skąd ci do diabła wpadł do głowy posąg?

— Rozumiesz, posąg, to zawsze jest coś takiego imponującego... Przychodzisz do mnie, patrzysz, w kącie stoi posąg .. Taki, wiesz biały, z marmuru, czy tam z gipsu. Oglądniesz go z tej strony i z tamtej zapalisz fajkę, no i w ogóle... tego...

— No tak, ale jaki posąg?

— No taki, jakie fabrykują. Co to, wiesz, stoją przed rozmaitymi budynkami w miastach, albo w tych tam jakichś muzeach... A co, w kinie nie widziałeś? Jest przyjęcie w jakimś wielkim domu, a tam w korytarzach czy w sali jadalnej stoją posągi... Rozmaite... Jakieś Bachusy, Wenusy i tak dalej.

— Znam jedną firmę w Omaha — rzekł Mac Canister — Nazywa się ona Perkins i Synowie. Dostarcza ona takie rzeczy wagonowo i na bardzo dogodne spłaty. Mam właśnie jej prospekt w kieszeni, bo wiecie Jim Kidnapper jest jej przedstawicielem na Black Bottom. On mi to dał Masz, czytaj.

I Mac Aligator zaczął czytać: „Dostarczamy wszelkie posągi antyczne i nowoczesne po cenach niezwykle niskich i na raty. Hurt i detal. Z antyków (naturalna wielkość) specjalnie polecamy: „Dyskobol" — 50 dolarów za sztukę, „Umierający gladiator" — 55 dolarów, „Apollo Belwederski" — 57 dolarów, „Wenus z Milo" — 60 dolarów... — Przy zakupie pięciu sztuk naraz 20 proc. rabatu".

— Wiesz — wtrącił Mac Allister — kup sobie takiego Wenusa... Słyszałem gdzieś kiedyś, że to była taka bogini jakaś grecka, czy rzymska. Wszystko jedno. Ale to musi być fajna rzecz. Rozumiesz, naga kobita...!

— Dlaczego naga?

— No, bo posągi wszystkie są nagie, nie wiesz, czy co?

No i trzej panowie ustalili, że jednak Wenus z Milo będzie najlepiej pasowała do mieszkania Mac Aligatora. Wypili jeszcze po jednym Dry-Pick-Up i szybko wysłali telegraficzne zamówienie do Omaha.

W dwa dni później posąg przybył na miejsce. Był starannie opakowany — firma Perkins i Synowie słynęła z solidności dostawy — i wyglądał w tym opakowaniu imponująco. Trzej przyjaciele zdjąwszy marynarki, rączo wzięli się do rozpakowania Wenus Milońskiej i po chwili wspaniały gipsowy odlew, noszący numer kolejny 1214, na znak, iż firma Perkins i Synowie w dziedzinie produkcji posągów przeszła na system taśmowy — stanął przed ich oczyma.

— Granda! — syknął przez zęby Mac Aligator.

— Oszustwo! — dodał głośniej Mac Allister.

— Świństwo! — wrzasnął na cały głos Mac Canister.

— Wysyłać komuś za żywą gotówkę wybrakowany towar? Kobitę bez rąk...? — krzyknął czerwony z oburzenia Mac Aligator.

— Ty, to nie firma to zrobiła — wtrącił Mac Canister — oni są za solidni. Jim Kidnaper może zaręczyć... To kolej! Johnny, idź zaraz do adwokata! Nauczymy tę Northern Pacific Railway rozumu! Żeby tak przewozić cenny towar i mu po drodze obłupywać ręce...? Skandal!

Adwokat Thomas Winnie Peachblow zatarł z radości ręce, gdy Johnny Mac Aligator wyłuszczył mu całą sprawę.

— Zrobione! — zawołał — Już piszę skargę o odszkodowanie w wysokości tysiąca miękkich!

Proces odbył się w Black Bottom (Iowa) i wzbudził olbrzymie zainteresowanie. Sędziowie przysięgli, w skład których wchodzili również panowie Mac Allister i Mac Canister z zainteresowaniem wysłuchali mowy adwokata Thomasa Winnie Peachblowa, która brzmiała w swej końcowej fazie następująco:

— Czcigodni dżentelmeni. Kończąc swoje przemówienie muszę jeszcze raz stwierdzić, że przestępstwo ze strony linii kolejowej Northern Pacific Railway jest niebywałe. Uszkodzić bowiem w czasie transportu do tego stopnia dzieło sztuki, żeby pozbawić wspaniały posąg antycznej bogini obu rąk, jest nie tylko niedopuszczalnym niedbalstwem, ale też i zamachem na Kulturę przez duże „K". Wnoszę o skazanie przestępczej kompanii kolejowej na zapłacenie odszkodowania na rzecz mego klienta Johnny'ego Mac Aligatora w wysokości tysiąca dolarów...!

Sąd po wysłuchaniu stron i po udaniu się na naradę ogłosił tego rodzaju wyrok:

„Zważywszy, iż uszkodzenie posągu, noszącego nazwę „Wenus z Milo", oraz zaopatrzonego w numer 1214 fabryki Perkins i Synowie z Omaha, mogło nastąpić jedynie w czasie transportu kolejowego, Sąd Przysięgłych miasta Black Bottom (Iowa) skazuje przedsiębiorstwo kolejowe Northern Pacific Company na zapłacenie obywatelowi naszego miasta Johnny'emu Mac Aligatorowi odszkodowania w wysokości tysiąca dolarów. Sąd nie dał wiary tłumaczeniom wyżej wymienionej kompanii kolejowej ani wyjaśnieniom powołanych przez nią ekspertów, że jakoby posąg Wenus z Milo nigdy nie posiadał rąk, gdyż Sąd wyszedł z założenia, iż coś takiego byłoby szczytem idiotyzmu. Posąg bowiem powinien mieć ręce, nogi, głowę oraz inne części ciała na swoim miejscu, ponieważ inaczej przestałby być posągiem i nikt by takich półfabrykatów nie kupował. Sąd również nie przyjął tłumaczenia kompanii kolejowej, że przecież posąg był w opakowaniu i że ręce po odpadnięciu powinny byłyby się znajdować wewnątrz opakowania, a to z tego względu, iż równie dobrze ręce te po obłamaniu mogły zostać z tego opakowania usunięte, a posąg z powrotem zapakowany".

Przedstawiciel Northern Pacific Company zapowiedział od wyroku apelację, co jednak cała sala łącznie z sędziami, przyjęła gromkim śmiechem, — po czym panowie Mac Allister, Mac Canister i Mac Aligator wziąwszy się pod ręce udali się do baru „Californian Poppy".

Rozrywki umysłowe

61 Grudniowy Konkurs Rozrywkowy i Autorski

CZĘŚĆ IV I OSTATNIA

W Konkursie Grudniowym dajemy Czytelnikom odpoczynek od krzyżówek szkieletowych rozstrzygniemy natomiast drogą głosowania Konkurs na najlepszą krzyżówkę roku.

Warunki Konkursu: Za rozwiązanie każdego zadania przyznajemy punkty, których suma decyduje o przyznaniu nagród. Po zakończeniu Konkursu niewykorzystane punkty zaliczamy na Konkurs następny.

Co miesiąc rozlosowane będą dwie książki wśród Czytelników, którzy nadeślą bezbłędne rozwiązanie wszystkich zadań Konkursu. 9 nagród za wytrwałość otrzymają Czytelnicy, posiadający największą ilość punktów.

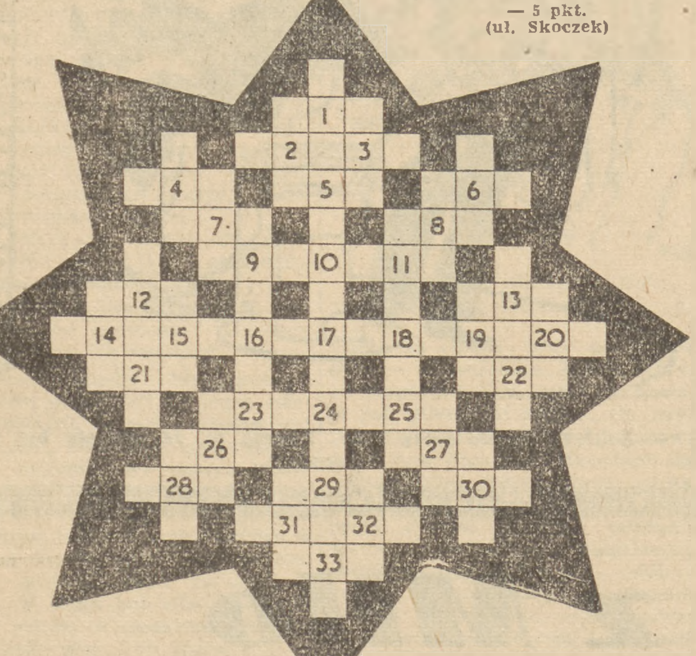
W wypadku nienadesłania rozwiązań z trzech kolejnych numerów, zdobyte punkty przepadają.

Jednocześnie z Konkursem Rozrywkowym prowadzimy nie ustający Konkurs Autorski. Dwie nagrody miesięcznie przyznawane są na podstawie głosowania.

13. SZARADA — 3 pkt.
(uł. Stary Szaradzista)

Padła już wroga **piąta** w proch,
Co Polskę zniszczyć chciała
I dziś w błękitny niebios strop
Uderza pieśń, że **cała.**
Już nie morduje nas dziś wróg,
Ni **szósta --ósma** dzieci;
W ojczysty wraca Polak próg
Z tułaczki, hen! po świecie.
Bo nie opuścił **Pierwszy** nas,
Złu zadał silny cios;
Dziś **dwa trzy - czwarta** nowy czas
Łaskawszy dla nas los.
Więc dziś przy świętach jakie znów
Do niebios modły wznosić?
. . . .
Niech dobry żyje wolny, zdrów;
Zły niech **sześć - siedem - osiem.**

14. WIRÓWKA GWIAŹDZISTA — 5 pkt.
(uł. Skoczek)



W powyższą figurę wpisać wirowo 33 pięcioliterowe wyrazy. Początek każdego wyrazu w numerowanym polu, kierunek wpisu — do odgadnięcia. Litery w polach ponumerowanych czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. modlitwa muzułmańska, 2. obraz, wizerunek z łaciny, 3. obchód ludowy w drugie święto Wielkanocy, znany w Krakowskiem i w Poznańskiem, 4. główna rzeka w Syjamie, 5. źdźbła roślin zbożowych po wymłóceniu (wspak), 6. nazwa po łac., 7. imię żeńskie, 8. rachunek bankowy, 9. spiętrzona kra, 10. podgardle u wołów i żubrów (łałok), 11. jedna z muz, 12. objaśnienie komentarz, 13. gwiazdozbiór, 14. pierwiastek chemiczny, 15. inaczej osobistość, 16. karłowaty szczep afrykański w Urundii, 17. rzeka w Alasce, 18. cesarz rzymski, 19. fonetycznie departament w północno-wschodniej Francji, 20. wydawnictwa drukowane, 21. budynek dla bydła, 22. awantura, 23. emanacja radu, 24. nieciekawe (wspak), 25. struś amerykański (nandu), 26. samiec indyka, 27. wyspa na Morzu Egejskim, 28. miasto w Bułgarii nad Morzem Czarnym, 29 = 17, 30. płytkie jeziora w Algerii i Tunisie (sebka), 31. ponownie, 32. = 10, 33. admirał rosyjski morderca Piotra III.

15. TRIANAGRAMÓWKA — 3 pkt.
(uł. Esse)

Lat dwadzieścia albo lepiej,
A dla klaczy to niemało! —
Miała stara, prawie ślepa;
A żarłoczna była ona! —
Zadam owsa górę całą,
Idę w miasto — wracam z kina:
A tu pasza ju........
. . . .
rży i wierzga — z głodu kona!

Należy uzupełnić treść i rym powyższego wierszyka trzema 9-literowymi słowami składającymi się z tych samych liter.

16. ZADANIE MATEMATYCZNE — 1 pkt.
(uł. Z. Czaplicki)

Ojciec trojga dzieci co rok na gwiazdkę dawał im w podarunku tyle złotych ile wynosiła suma powstała z podniesienia do kwadratu wieku każdego z nich. Podać wiek każdego dziecka i kwotę wypłaconą przez ojca na gwiazdkę 1948 jeżeli wypłata w roku 1947 była o 59 złotych mniejsza niż w 1948, a suma cyfr tej wypłaty wynosiła 14.

* * *

Termin nadsyłania powyższych rozwiązań upływa dnia 14 stycznia 1949. Rozwiązania prosimy nadsyłać na kartkach rozmiaru karty pocztowej A 6 (10,5 x 14,8 cm). Podanie słów pomocniczych obowiązuje. Przypominamy Czytelnikom, że w dniu 14 stycznia Redakcja przystąpi do obliczania wyników Konkursu Grudniowego. Uwzględnione więc zostaną jedynie te rozwiązania, które dnia 14 stycznia będą w posiadaniu Redakcji.

Rozwiązań z części niniejszej nie uwzględnimy, jeśli nie będzie do nich dołączony poniższy kupon.

KUPON DO GŁOSOWANIA

Najlepszymi zagadkami 61 Konkursu Rozrywkowego były:

1 ....
(numer) (nazwa)

2 ....
(numer) (nazwa)

Najlepszą krzyżówką szkieletową w 1948 była

P ....
z numeru ..... Świat i Życie

Nazwisko głosującego:

Adres:

Redakcja życzy wszystkim Czytelnikom i Sympatykom Wesołych i Szczęśliwych Świąt i wiele radości myśli przy rozwiązywaniu zagadek.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR 45 „ŚWIAT I ŻYCIE"

5. SYNTEZA KRZYŻÓWKOWA

A	P	E	L	L	E	S	■	E	T	I	O	P	I	A
T	E	M	P	O	■	O	I	L	■	S	F	A	K	S
A	R	D	■	P	A	S	Z	K	O	T	■	L	O	B
I	T	E	N	E	Z	■	B	■	S	M	O	L	N	A
R	U	N	O	■	Y	E	A	T	S	■	G	A	O	N
■	R	■	R	A	M	A	■	E	I	R	E	■	K	■
E	B	O	N	■	U	R	L	O	P	■	U	B	L	I
T	A	R	A	N	T	■	E	■	E	U	F	R	A	T
I	C	A	■	E	Y	S	C	H	E	N	■	A	S	H
O	J	C	Ó	W	■	I	Z	O	■	D	Ł	U	T	O
P	A	Z	N	A	U	N	■	B	R	E	N	N	A	N

6. WYBÓR ŻONY: Abramowska.

7. KRZYŻÓWKA CYFROWA

■	1	5	3	3
2	2	1	5	4
2	1	■	7	3
6	0	7	2	■
1	■	■	1	7

Właściciel roweru urodził się w 1880, czyli ma obecnie prawie 68 lat.

8. ZAGADKA: Satanka + mary = Samarytanka.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR 46

9. KRZYŻÓWKA SZKIELETOWA

F	A	K	I	R	■	K	■	A	■	R	O	B	O	T
U	R	O	K	■	P	R	A	G	A	■	R	A	D	A
G	A	L	I	A	■	A	R	A	■	A	K	R	O	N
A	B	O	■	M	A	K	A	R	O	N	■	A	L	T
S	■	S	T	E	R	■	K	■	P	T	A	K	■	O
■	■	■	U	R	A	N	■	B	I	E	G	■	■	■
R	■	T	R	Y	B	■	E	■	A	N	A	M	■	D
O	R	A	■	K	A	N	T	A	T	A	■	E	M	U
B	A	R	K	A	■	I	N	N	■	T	U	K	A	N
A	M	O	R	■	A	K	A	N	T	■	S	K	O	K
K	A	K	A	O	■	E	■	A	■	L	O	A	R	A

10. SZARADA POLINOMICZNA: Barcelona.

11. ZADANIE MATEMATYCZNE: Ze stacji A wyjdą razem po 60 godzinach, ze stacji B nigdy.

12. SKŁADANKA SYLABOWA: Kochajmy się. Wyrazy pomocnicze: kokos, krona, kacyk, kahał, klasa, kajak, komar, krypa, kasta, klika, klęka.

Przeczytajcie dzieciom...

K. I. Gałczyński — Rysunki Jerzego Srokowskiego

Kto wymyślił choinki?

Poświęcam córce Kirze

Moje kochane dzieci,
był taki czas na świecie,
że wcale nie było choinek,
ani jednej, i dzięcioł wyrywał sobie piórka
z rozpaczy, i płakała wiewiórka,
co ma ogonek jak dymiący kominek.

Ciężkie to były czasy niepospolicie,
bo cóż to, proszę was, za życie
na święta bez choinki, czyste kpinki!
Więc, kiedy nadchodziły święta,
dzieci w domu, a w lesie hałasowały zwierzęta:
— My chcemy, żeby natychmiast były choinki!

Ale nikt się tym nie interesował,
aż wreszcie powiedziała mądra sowa:
— Tak dalej być nie może, obywatele.
Ja z sowami innymi trzema
zrobię bunt, bo choinek jak nie ma, tak nie ma,
tylko mak i suszone morele.

I rzeczywiście: gdy przychodziła Gwiazdka,
nic nigdzie nie tonęło w blaskach,
był to widok nader niemiły;
i nikt nie myślał o zielonej świeczce,
i ciemno było, proszę was, jak w beczce,
przez to, że się nigdzie choinki nie świeciły.



Ale w chatce na nóżkach sowich
mieszkał pewien tajemniczy człowiek,
który miał złote książki i zielone pióro;
i jak nie krzyknie ten dobry człowiek:
— Poczekajcie chwilkę, ja zaraz zrobię,
że nigdzie nie będzie ponuro!

No i popatrzcie: od jednego słowa
świerki strzelają, gdzie była dąbrowa,
choinki nareszcie będą.

Bo ma poeta słowa tajemnicze,
którymi może spełnić każde z życzeń.
(A ten człowiek był właśnie poetą):



To on nauczył, jak się świeczki toczy,
jak się z guzików robi skrzatom oczy,
on, namówiony przeze mnie;
i jak się robi z papieru malutkie okręty,
i to on ułożył te wszystkie kolędy,
które śpiewać jest tak przyjemnie.

To on, moi srebrni, moi złoci,
zawsze jest pełen dobroci,
w nim jest ta pogoda i nadzieja;
to on nauczył, jak zawieszać zimne ognie
i on te świeczki odbija w oknie,
że okno jest jak okulary czarodzieja.

Więc już teraz, chłopcy i dziewczynki,
czy wiecie, kto wymyślił choinki?
czy już teraz każde wie to?
Chórem dzieci: To ten odważny, dobry człowiek,
co mieszka w chatce na nóżkach sowich,
co go ludzie przezywają poetą.



Więc gdy śnieg na święta zatańczy,
pomyśl, proszę, najukochańszy,
o tym panu, co układa rymy;
prześlij mu życzenia na listku konwalii,
a myśmy już mu telegram wysłali,
bo my wszyscy bardzo go lubimy.

Czy „znaczki Perota" są znaczkami?

Długo trwał spór między fachowcami-filatelistami o to, czy „arcydzieła" imć pana Perota w ogóle należy zaliczyć do znaczków? Bo „znaczek Perota", to właściwie tylko mały kawałek białego papieru, z wybitą na nim stemplem gumowym datą, nad tym ręcznie oznaczona słowami: „one penny" — wartość znaczka, oraz podpis własnoręczny „W. B. Perot", umieszczony pod datą.

Mister William B. Perot prawdopodobnie nigdy nie przypuszczał, iż nazwisko jego znane będzie filatelistom całego świata. Ale też historia znaczków Perota jest jedyna w swoim rodzaju. Jakieś sto lat temu Mister William B. Perot był kierownikiem, a równocześnie też jedynym urzędnikiem Urzędu Pocztowego w Hamilton. Hamilton to stolica Wysp Bermudzkich na Oceanie Atlantyckim (Wyspy Bermudzkie — grupa 360 małych wysepek, z których około 20 zamieszkałych jest przez 30.000 mieszkańców. Stolica Hamilton ma obecnie 3.300 mieszkańców).

Mister Perot miał jedną wielką namiętność: ogrodnictwo i jedną małą namiętność: lubił długo spać. W jednym i drugim przeszkadzała mu funkcja kierownika i urzędnika poczty. Często w ciągu dnia zamykał Urząd Pocztowy, który był równocześnie jego mieszkaniem i szedł do ogródka. Nie można powiedzieć by podobało się to klientom poczty. Często też klienci budzili Perota w nocy, żeby nadać jakiś list. To znów nie podobało się mr. Perotowi.

Długo myślał mr. Perot, jak by zaradzić złu, aż wpadł na sposób, mający pogodzić wszystkich: postawił przed urzędem dużą skrzynię z małym otworem. Nad skrzynią umieścił napis, zawiadamiający nadawcom listów, że w razie jego nieobecności oraz w nocy listy wrzucać należy do tej oto skrzynki.

Mr. Perot zarabiał mało: poczta płaciła mu rocznie 70 funtów angielskich z tym, że wolno mu było zatrzymywać dla siebie opłatę za miejscowe listy. Opłata ta wynosiła 1 penny od listu a płatna była gotówką. Do skrzynki pomysłu pocztmistrza hamiltońskiego należało więc wrzucać razem z miejscowymi listami jak że 1 penny gotówką. Bardzo często jednak zdarzało się, iż Perot opróżniając skrzynkę znajdował w niej więcej listów miejscowych niż monet 1 pensowych. Mieszkańcy Hamiltona zapominali często o opłatach. Mister Perot musiał się więc zastanowić, jak zapobiec osobistym stratom.

Wreszcie mr. William wymyślił wspomniane na wstępie znaczki własnej produkcji. Każdy kto chciał wysłać list, musiał naklejć na kopertę „znaczek" Perota. Nie był to produkt wybitnie artystyczny, ale spełnił swój cel.

Filateliści o istnieniu tego znaczka dowiedzieli się dopiero w r. 1897. Długo badano i spierano się o prawdziwość tych znaczków. Wreszcie uznano je za prawdziwe. Oczywiście każdy szanujący się filatelista chciał mieć znaczek Perota. Okazało się jednak, iż znaczków tych na świecie pozostało już tylko 10: 4 ze stemplem koloru czarnego i 6 ze stemplem czerwonym. Taki widocznie tusz do stempli używał mr. Perot.

W roku 1936 Urząd Pocztowy Wysp Bermudzkich upamiętnił całą tą historię na nowej emisji 6-pensowego znaczka, którego obrazek przedstawia urząd pocztowy i dom mieszkalny Williama B. Perota.

M. R.



Znaczek produkcji mr. Perota, obok niego znaczek 6-pensowy, wydany w 1936 r. dla upamiętnienia całej tej historii.